Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 6 marca 1938 r. Nr. 10

DYLIŻANS

Zmieniły się czasy, ludzie i rzeczy,
Bo tak chce życie, bo tak chce los
I takie prawo już jest odwieczne,
Że postęp zawsze i wciąż ma głos.

Dziś, zamiast poczty i dyliżansu,
Mknie po asfalcie błyszczący „Ford",
Dziś już dyliżans stracił swe szanse,
Jak zarzucony, przebrzmiały sport.

I nikt już nie wie, lub nie pamięta,
Że tak niedawno był tylko on
I tylko on był zmianą, był świętem,
Gdy po dniach długich zajeżdżał przed dom.

Często przywoził kogoś z najdroższych
Lub czyjś pisany tęsknotą list
I znowu dążył, wśród burz najsroższych,
Do nowych mieścin, do nowych wsi.

A dziś, w przeróżnych zjawisk zamęcie,
Już tylko czasem przysłanie gdzieś,
By zaraz zginąć na dróg zakręcie
I dziwnych ludzi do celu wieźć.

Maria Zemmlerówna.



Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO IRENY MACIEJEWSKIEJ

2.

— Mój brat i ja zostaliśmy sierotami we wczesnym dzieciństwie. Wychowywaliśmy się razem pod opieką kochającego i wyrozumiałego stryja, który nie chciał nas nigdy rozłączać. Ubóstwialiśmy się wzajemnie... Brat był taki dobry, taki czuły, taki uprzedzający. Był to najszlachetniejszy w świecie człowiek. Wszyscy go kochali. A ja byłam dumna z niego, z jego nieprzeciętnego umysłu z jego wiedzy. To była mądrość, inteligencja; byłby kimś w naszym kraju, co tak bardzo potrzebuje wybitnych jednostek. Lecz przyszła wojna w Afryce, okrutna wojna, o metodach walki opartych na zasadzkach i zdradliwych podejściach...

Nastąpiło milczenie, które zaledwie ośmieliłam się przerwać, by zapytać:

— W jaki sposób został ranny?

— Był obserwatorem. Samolot, na którym leciał skapotował. Gdy go wydobyto spod szczątków maszyny, zdawało się, iż to trup. Bóg jednak zezwolił, by żył jeszcze!

Samolot spadł po stronie nieprzyjaciela; trzeba było pertraktować z powstańcami, by ranny mógł powrócić do swych towarzyszy broni i być pielęgnowany w naszym szpitalu. Gdy go wreszcie odzyskano, było to już za późno na skuteczne leczenie. Wiedza medyczna uczyniła wszystko co było w jej mocy. Zwrócono mi go w tym stanie. Wszystkie starania, by mu przywrócić władzę w członkach, okazały się bezskuteczne. W tym okropnym zmartwieniu pozostaje mi tylko jedna pociecha; przekonanie, iż umysł jego jest przyćmiony i brat mój nie zdaje sobie sprawy ze swego nieszczęścia.

Siedziałyśmy przy ogniu, płonącym na kominku.

Wyciągając ręce do płomieni — słucham pilnie opowiadania mej towarzyszki, zwracając wciąż wzrok ku nieszczęśliwemu kalece ,o którym mówiła.

— Więc nie zdaje on sobie wcale sprawy ze swego stanu? Umysł jego nie pracuje zupełnie?

— Absolutnie. Wszyscy lekarze zgadzali się co do tego, a Bóg widzi jak mi zależało na tej pewności. Świadomość, iż mózg mógłby funkcjonować w tym bezwładnym ciele, byłaby okrutna, los zaoszczędził mi chociaż tego cierpienia — brat mój teraz wegetuje tylko. Starałam się tysiące razy uchwycić jakiś przebłysk rozumu: nic, nigdy nic nie uzyskałam przez te usiłowania. I to jest jedyna moja pociecha.

— Czy brat pani nie był żonaty?

— Na szczęście, nie. Mogę pozostawać z nim zawsze, pielęgnować go, otaczać opieką i osładzać w miarę możności pustkę tej posępnej egzystencji.

Rozmowa nasza przeciągała się. Jedno słowo wywoływało drugie, rodząc między nami wzajemną sympatię.

Opowiedziała mi jeszcze ,iż była zaręczona, lecz, gdy nieszczęście dotknęło jej brata, postanowiła poświęcić mu życie i zerwała nierozerwalne, jak się jej dotychczas zdawało, więzy miłości, łączące ją z narzeczonym.

Projekty matrymonialne jej brata rozwiały się również. Był on zaręczony z młodą, piękną i bogatą panną z okolicy. Kochał ją do szaleństwa, ona zdawała się podzielać jego uczucia. Życie im się uśmiechało, gdy nagle spadło to nieszczęście. Zaledwie dowiedziała się o jego kalectwie, zerwała zaręczyny, nie czekając nawet ostatecznej decyzji lekarzy, mogącej dać nadzieję na wyzdrowienie. Została narzeczoną innego. Szczęściem, brat z powodu utraty zmysłów, nie mógł odczuć obojętności ukochanej kobiety.



Mistrzyni świata w jeździe figurowej, następczyni Sonii Henie, Megan Taylor, w czasie popisu.

Dowiedziałam się tych rzeczy i wielu innych jeszcze, o których mi opowiadała tak szczerze i prosto, jakgdyby sprawiało jej to ulgę, iż może mówić o swych troskach komuś, kto jej słuchał z wielką uwagą. Żyła przecież w odosobnieniu w tym dzikim i odległym od innych miejscowości, domostwie; pozatem byłyśmy prawie w jednym wieku, obydwie sieroty, obydwie dotknięte przez okrutne życie, które zadając ciosy, nie zważa na wiek swych ofiar. Instynktowna potrzeba uczucia, istniejąca w każdej młodej istocie, zbliżała nas do siebie. Całym sercem słuchałam jej zwierzeń i z całym zaufaniem opowiedziałam jej o moim nędznym, bezradosnym życiu u boku opryskliwej i despotycznej babki, wymawiającej mi od rana do wieczora swą gościnność.

Nie spostrzegłyśmy nawet jak zapadł zmierzch i dopiero na widok wnoszonej lampy, zerwałam się z okrzykiem:

— O Boże! Czas tak prędko schodzi w pani miłym towarzystwie, a ja przecież muszę się jeszcze udać do Roches Noires przed powrotem do Presec.

— Do Roches Noires?

— Tak, tak.

— To zbyteczne, właściciele są tam teraz nieobecni i zapewne nigdy nie powrócą. Pałac zostanie sprzedany, a na razie zaś wszystkimi sprawami zajmuje się notariusz.

— To co innego. Zaoszczędzę sobie tej wędrówki. Tym niemniej jednak muszę już panią opuścić, bo zmrok zapada, a w lesie będzie wkrótce zupełnie ciemno.

Wstałam, by pożegnać się; nagle zadrżałam.

Usłyszałam z lewej strony ochrypły pomruk.

Zwróciłam się do kaleki, który właśnie wstał ze swego miejsca. Okrutny grymas wykrzywiał mu usta; starał się wydać jakieś artykułowane dźwięki.

Mimo, iż byłam uprzedzona i zdołałam oswoić się z osobą chorego, czułam, iż blednę. Wydawał mi się taki olbrzymi, taki wychudzony ,a przede wszystkim tak mało podobny do człowieka. I ta twarz wykrzywiona, pochylająca się ku mnie! W pewnej chwili, jego długie ciało przechyliło się gwałtownie do przodu, jakby zgięte wpół. Cofnęłam się.

Czy kłaniał mi się? Czy chciał coś powiedzieć? Nie mogłam odgadnąć. Usiłowałam opanować mój instynktowny lęk przed nim i zmusiłam się do uśmiechu, kłaniając mu się również.

Poczem wyciągnęłam rękę do jego siostry, by ją pożegnać, gdy spojrzałam jednak w jej zmienioną twarz, ręka moja zawisła w powietrzu.

Pobiegłam oczami za jej wzrokiem, utkwionym w nieszczęsnym kalece.

On dotychczas postąpił kilka kroków naprzód; chód jego nie był normalny, ruchy nierówne, oderwane, przypominały sposób chodzenia mechanicznych zabawek. Ręce poruszały się jak druty, wprawiane w ruch sprężyną.

— Mój Boże, mój Boże, wyjąkała moja nowa przyjaciółka. Co mu się stało? Skąd to niezwykłe podniecenie?

Schwyciła brata za ramię; wydawała się bardzo drobną przy tym wielkim, chwiejącym się szkielecie, czyniącym wrażenie, iż może się rozsypać za lada dotknięciem. Drobna jej postać jednak tchnęła taką pewnością i bezpieczeństwem, iż uspokoiłam się zupełnie, widząc ją przy nim.

— Braciszku, nie denerwuj się, usiądź. Zaraz się tobą zajmę.

Próżne wysiłki. Automat wyrywał się jej i wciąż wykonywał jakieś nieokreślone ruchy.

— Od dłuższego czasu nie widziałam go tak podnieconym, szepnęła mi młoda dziewczyna. Dawniej miewał podobne ataki, wywołujące we mnie obawę, iż są one spowodowane przebudzeniem świadomości i wewnętrznym buntem. Potem jednak nigdy już mnie tym nie przerażał, a teraz znowu się zaczyna. Może to burza działa tak na niego.

Gwałtowny grzmot wstrząsnął w tej chwili domem, jakgdyby na potwierdzenie jej słów. Deszcz bił o szyby ze zdwojoną siłą. Wśród tych odgłosów nawałnicy dał się znowu słyszeć pomruk człowieka: wydawało się, iż chce on zagłuszyć hałas rozpętanego żywiołu.

— Może on się boi? — szepnęłam.

— Może. Ale w takim razie, musiałby zdawać sobie z tego sprawę. Czyżby myśl jego nie zamarła całkowicie?

— Raczej podświadomie wyczuwa niebezpieczeństwo.

— Ach, nie daj Boże, by uświadomił sobie kiedykolwiek swój nieszczęsny stan. To byłoby zbyt okrutne dla niego.

Otoczywszy ponownie brata ramieniem, usiłowała uspokoić go.

— Niechże pani nie odprowadza mnie, — rzekłam — i pozostanie przy bracie; nie trzeba, by się pani oddalała teraz od niego, a ja już znam przecież drogę. Pójdę prędko, gdyż obawiam się, by noc nie zaskoczyła mnie w lesie.

Nie skończyłam jeszcze, gdy nagle automat wysunął się z ramion siostry, kierując się w moją stronę. I zanim któraś z nas mogła przewidzieć ten ruch, ręce jego spoczęły na moich, jakgdyby chciały je obezwładnić.

Krzyknęłam przeraźliwie.

Oczy, rozszerzone strachem, patrzyły na ten trzymający mnie upiorny twór.

Przerażenie moje było śmieszne, odczuwałam niewłaściwość tego wobec tej miłej dziewczyny, która mi tak dużo mówiła o swym bracie, zapewniając o jego łagodności, lecz biedna natura ludzka, rządząca naszą istotą fizyczną, niezawsze jest posłuszna rozsądkowi. Czułam, iż błędne coraz więcej, nogi uginają się pode mną.

Moja towarzyszka zbliżyła się i chwyciła silnie brata.

— Proszę się uspokoić — rzekła do mnie — i wybaczyć mu ten lęk, który wzbudza w pani... on nie zdaje sobie sprawy...

Starałam się uśmiechnąć i chcąc okazać się odważną powiedziałam wesoło:

— Brat pani nie chce, bym stąd wyszła. Od chwili gdy zaczęłam mówić o swym odejściu jest taki podniecony. Widzi pani, mimo wszystko, stara galanteria francuska istnieje w nim zawsze.

— Nie przypuszczam ,aby to uczucie, nawet instynktowne, doprowadzało mego brata do tego stanu; tym niemniej jednak, nie można puścić pani w taki czas.

— O, nie jestem z cukru, jak mówi moja babka i nie potrzebuję obawiać się wody. Powinnam natomiast obawiać się leśnych ścieżek, gdy noc zapadnie, nie mam bowiem zdolności do szybkiego orientowania się w nich. Uciekam więc, proszę pani, bardzo dziękuję za miłe przyjęcie i przepraszam za kłopot, który pani sprawiłam wskutek zmylenia drogi.

Chciałam skierować się do drzwi, spiesząc odejść zanim ściemni się zupełnie, ręce automatu nie opuszczały jednak mych ramion i znowu dał się słyszeć pomruk.

Czy było to złudzenie? Zdawało mi się, iż zacieśnia on uścisk palców!

Mimo woli utkwiłam oczy we wzroku nieszczęśnika i zdało mi się, w krótkiej jak błyskawica chwili, iż ujrzałam w tym martwym spojrzeniu, skierowanym na mnie, przebłysk świadomości.

Otworzyłam usta, chcąc krzyknąć siostrze o tym odkryciu, wargi me jednak zamknęły się w niejasnym przeczuciu tajemnicy.

Nagle, jak prąd elektryczny, poraziła mnie myśl:

— Ta młoda dziewczyna twierdzi przecież, iż umysł jej brata zamarł na zawsze...

W następnej sekundzie w mózgu mym powstało pytanie:

— Czy ona się myli? Czy mówi ci nieprawdę? Czy też ty się łudzisz?



Gubernator nowej twierdzy angielskiej w Singapore (Indie Wsch.), sir Shenton Thomas, przechodzi w dniu poświęcenia twierdzy przed frontem kompanii honorowej.

I natychmiast potem decyzja:

— Nie znając prawdy, zachowaj swe spostrzeżenie dla siebie!

Myśli, cisnące mi się do głowy, były tak niezwykłe, iż oczy moje opuściwszy wzrok brata, skierowały się podejrzliwie ku siostrze.

Ona jednak nie zauważyła mego zmieszania i, wciąż przytrzymując brata, zwróciła twarz ku oknu, by zbadać pogodę.

— Nie, nie, powtórzyła, nie puszczę tak pani. Wydam rozporządzenie, by Nador zaprzągł do powozu i odwiózł panią do Presec.

— Ależ ja nie chcę...

— Nie może być inaczej! Babka pani nigdy by nie darowała mi braku szacunku dla niej w osobie pani, a zależy mi teraz bardzo na zachowaniu przyjaźni mej starej sąsiadki, gdy wiem, iż ma ona tak miłą wnuczkę, która, mam nadzieję, będzie często zaglądać do Belle Vue.

— Jestem naprawdę zawstydzona, wyjąkałam, zmieszana kłopotem, który teraz jej sprawiłam.

I dodałam bardzo szczerze:

— Zapewniam panią, iż babka moja nie będzie urażona, jeśli powrócę pieszo. Nie jestem przyzwyczajona w Presec do troskliwości i nigdy nie jeżdżę żadnym pojazdem. Przeciwnie, byłabym zawstydzona, gdybym musiała opowiedzieć babce o tym, iż pani fatygowała dla mnie służącego, konia i powóz.

Roześmiała się wesoło:

— A więc, panno Sabino, będę miała dziś przyjemność zburzyć na pani cześć wszystkie przyjęte obyczaje. Żałuję tylko, że stan mego brata nie pozwala mi go opuścić, gdyż inaczej rada byłabym odwieźć panią osobiście do Presec, korzystając z okazji, by pozdrowić pani krewną i upewnić się, iż pozwoli ona swej wnuczce na często odwiedzanie Belle Vue.

— Przyrzekam to pani, zawołałam wzruszona jej życzliwością. Jestem zbyt uszczęśliwiona przyjaźnią, którą chce mnie pani obdarzyć, by nie cieszyć się nią tak często, jak tylko będę mogła.

— To świetnie! A teraz pójdę uprzedzić Nadora... to nasz woźnica. Zwie się on w rzeczywistości Nabuchodonozor, lecz to dźwięczne imię, którym rodzice jego uznali za swój obowiązek obarczyć go przy chrzcie, wydaje się wszystkim zbyt długie, nazwano go więc Nadorem w młodym wieku i pozostał nim na starość. To brzmi co prawda mniej poetycznie, ale za to o wiele krócej.

Mówiąc to roześmiała się znowu i wyszła, zdoławszy przedtem usadowić kalekę w fotelu.

Zbliżyłam się wówczas powoli do niego. Dziwna rzecz! teraz, gdy doznałam wrażenia, iż zdaje on sobie ze wszystkiego sprawę, odczuwałam mniejszy lęk.

Pochyliłam się nad nim i łagodnie przemówiłam:

— Muszę pana serdecznie przeprosić za kłopot, który mu sprawiłam, gdyż, jak mi się zdaje, to pana interwencja nasunęła siostrze myśl odesłania mnie powozem... Panu jednemu mogę się tylko przyznać teraz, iż niezbyt mi się uśmiechała przechadzka w ten deszcz, zwłaszcza, że nie jestem bardzo odważna, a noc już zapadła.

Mówiąc to, wiedziałam dobrze, iż nieszczęśliwy nic nie może mi odpowiedzieć; mimo to jednak doznałam pewnego rozczarowania, widząc, iż nie zareagował w najmniejszy sposób na moje słowa.

Mimo woli szukałam jego spojrzenia, chcąc znaleźć w nim odblask świadomości. Źrenice jego jednak były puste i utkwione w jeden punkt. We wzroku tego sparaliżowanego człowieka widniała nie tylko bezmyślność — była w nim nicość, prawie śmierć.

Jak mogło mi się wydawać kilka minut temu, iż widziałam przebłysk świadomości w tych oczach szarych, szklanych, odzwierciedlających jedynie niezgłębioną pustkę?

Chcąc lepiej upewnić się o swej pomyłce, odważyłam się wsunąć rękę pod jego palce; chciałam nawet zmusić je do zaciśnięcia się wokół mej dłoni.

Oczekując tego spodziewanego dotknięcia, ciągnęłam dalej:



Coś jaśniejszego od słońca...

— Przyrzekłam siostrze pana odwiedzać ją często; mam nadzieję, iż obecność moja nie będzie pana drażniła. Byłabym bowiem bardzo zmartwiona, sprawiając panu najmniejszą przykrość, bądź przez przypominanie o świecie zewnętrznym, gdyż — wiem to dobrze — w pogawędce dwóch młodych dziewcząt znajdą się zawsze drobnostki, mogące obudzić w panu wspomnienie tego dalekiego świata, który pan znał i od którego jest pan teraz odgrodzony; bądź też przez pozbawienie pana wyłącznej uwagi siostry. Tak — potwierdziłam — byłabym bardzo zmartwiona i wolałabym wyrzec się bywania w Belle Vue, jeśli miałoby to w czymkolwiek naruszyć przyzwyczajenia pana.

Głos mój stał się ciepły i przyjazny; na próżno jednak oczekiwałam najlżejszego uścisku jego palców, nic nie potwierdzało mego podejrzenia: nieszczęsny kaleka był naprawdę martwy dla życia ludzkiego, wegetował tylko jak roślina, która żyje i oddycha, lecz niezdolna jest do jakiegokolwiek wysiłku, do myśli.

Była to kompletna ruina człowieka: pozostało tylko trochę kości i ciała, był to żywy trup, pozbawiony wszelkich ludzkich cech.

Przeżyłam więc tylko parę chwil złudy i niczym nieuzasadnionej nadziei; utwierdziwszy się w tym przekonaniu, rozczarowana i zmrożona okrutną rzeczywistością, chciałam usunąć rękę spod bezwładnych palców.

Wtem zadrżałam znowu.

Palce jego objęły mą dłoń w długim, łagodnym uścisku.

Gdyby uścisk ten pochodził od innej osoby, mógłby być nazwany przyjacielskim, w danym wypadku jednak dotknięcie to miało w sobie coś przykrego. Był to bezwiedny gest automatu, lub raczej machinalny odruch, przypominający uścisk rączki niemowlęcia, które chwyta za podawany mu palec. Mimo to uścisk był „ludzki", mógł być „nieświadomy", lecz nie „bezmyślny". Przemknęło mi wówczas przez głowę, iż mózg tego żywego trupa przesyła wrażenia nerwom, trudno było jednak ustalić do jakiego stopnia znieczulona była jego wrażliwość, a zwłaszcza w jakim stopniu działała podświadomość.

Na szczęście powróciła siostra kaleki, odrywając me myśli od dręczącego zagadnienia.

Wzrok jej rozjaśnił się, gdy ujrzała mnie pochyloną nad chorym bratem.

— Cieszę się bardzo, iż mój biedny Janusz nie wzbudza już w pani lęku; obawiałam się bowiem, iż strach, który odczuwała pani na jego widok, powstrzyma panią od przychodzenia do nas.

Uspokoiłam ją serdecznie pod tym względem i pożegnałam się wreszcie.

Po upływie pół godziny byłam już w Presec.

* * *

Babka oczekiwała mnie z niecierpliwością. Była może trochę zaniepokojona, widząc zapadającą noc i ulewny deszcz, bijący o szyby — dość, że wydała się zadowoloną, gdy weszłam do jej małego saloniku.

Patrzyła jednak na mnie zdumiona, iż tak mało zmokłam, powiedziałam więc wesoło:

— Miałaś rację, babciu, deszcz mnie nie rozpuścił, a nawet udało mi się zupełnie nie zmoknąć.

— Skąd przychodzisz? — przerwała mi.

— Widzisz przecież, że przychodzę z piekła, uosobionego przez deszcz, ciemność, gąszcz lasu i wiele innych strasznych rzeczy, które musiałam pokonać, by zrobić ci przyjemność.

— Dość tych głupstw, wariatko! Co powiedziano ci w Roches Noires?

— Absolutnie nic, ponieważ tam nie byłam.

Babka podskoczyła, słysząc to.

— Doprawdy, a dlaczego, jeśli wolno wiedzieć?

— Dlatego, że w pałacu nie ma nikogo obecnie. Zostanie on wkrótce sprzedany, a tymczasem notariusz z Collonges będzie się zajmował interesami dawnych właścicieli.

— Sprzedany, sprzedany, powtarzała babka ze zdumieniem. A ja dopiero dziś dowiaduję się o tym. Ależ to jedyna okazja, by powiększyć Presec i uwolnić się wreszcie od tego uciążliwego połączenia. I nikt mnie o tym nie zawiadomił.

Pomyślałam sobie, iż uprzejme usposobienie babki nie zachęcało zbytnio ludzi do zajmowania się jej sprawami i stąd zapewne to milczenie, na które teraz narzeka.

— Ale czy jesteś pewna, że Roches Noires będą sprzedane, spytała znowu.

— Zupełnie pewna.

— Skądże wiesz o tym, mówiłaś przecież przed chwilą iż nie byłaś tam?

— Właścicielka Belle Vue opowiedziała mi tę nowinę.

— Widziałaś się z panną de Saumarte?

— Wracam od niej.

— Ba! Cóż to znowu za historia!

— Zbłądziłam! Zamiast iść do Roches Noires, poszłam ścieżką prowadzącą do Belle Vue.

— Poznaję w tym twoją głupotę! Wytknięta ścieżka — dziecko nie mogłoby się pomylić!

— Oczywiście, tylko twoja wnuczka, rzekłam z goryczą, nie jest w stanie odróżnić czerwonej kreski od zielonej.

— Zapewne, skoro mówiłam ci o czerwonych znakach.

— Właśnie, czerwone znaki.

— No! więc! Gdybyś nie była tak głupia...

— Oh, proszę cię babciu, nie rób mi wymówek! Gdybym była mniej głupia, zrozumiałabym, że dla ciebie czerwone oznacza zielone.

— Jakto? Mówiłam ci o czerwonych!

— I właśnie, moja babciu, popełniłam głupstwo, jak twierdzisz, iż poszłam według wskazanych przez ciebie kresek. Gdybym postąpiła inaczej, udając się w kierunku innych znaków, doszłabym do Roches Noires. Nic nie przyszłoby mi jednak z tego, ponieważ nikogo bym tam nie zastała. Nie zdając sobie z tego sprawy, musiałaś przewidzieć, iż Roches Noires są opuszczone i wysłałaś mnie do panny de Saumarte, gdzie zostałam przyjęta jak najuprzejmiej.

Mój z lekka drwiący ton, denerwował babkę, przerwała mi więc cierpko:

— Czerwone, zielone, gdy ktoś nie jest głupi, nie zmyli drogi. A skoro nie byłaś pewna jaki kolor ci podałam, trzeba było się dowiedzieć. Ale naturalnie, panienka sądzi, iż daleko prościej jest włóczyć się po lasach, błądzić i wracać w nocy, uważając za bardzo dowcipne przejść bez potrzeby pięć kilometrów i wdrapywać się po drabinie wyciosanej w skale.

Nie pozostawało mi nic innego jak tylko ukorzyć się przed tym niezwykłym uporem mej babki.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Nie, tego wolę nie wiedzieć — odparł Eryk — ale jeżeli mi chcesz dać dowód, że masz dar jasnowidzenia, to opowiedz mi coś z mojej przeszłości, z młodości.

Indianka na chwilę wlepiła wygasłe źrenice w ogień na kominku, potem zaczęła sennym głosem:

— Na dalekiej północy stoi wspaniały zamek, miejsce twego urodzenia. Ród twój jest jednym z najmożniejszych w kraju. Imię twe jest piękne. Jesteś faworytem losu, lekkie masz serce i lekką myśl. Nie martwisz się niczym długo, życie schodzi ci spokojnie i wesoło. Cieszy cię wszystko i raduje. Serce twe i ręka jeszcze wolna. Nie jesteś w służbie i nie masz pana nad sobą na ziemi. Jesteś wolny i szczęśliwy!

Zabobonna trwoga ogarnęła Eryka.

— Skąd to wiesz? — szepnął.

— Wielki duch mi to objawił — rzekła uroczyście — i on pokazuje mi obraz twej przyszłości. Czy powiedzieć ci, co widzę?

— Mów, mów! — prosił Eryk gorączkowo.

— Przy twoim boku widzę wspaniałą żonę. Cudowne dziatki igrają u twych stóp. Potęgi i sławy nie dał ci los, ale masz bogactwo i szczęście.

— Jeszcze jedno — poprosił Eryk wzruszony — jak wygląda moja żona?

— Biała jak śnieg w Sierra Nevada, a wzrok jej błyszczy łagodnie. Ale oto obraz rozpływa się w moich oczach — nie widzę już nic.

— Dziękuję ci! — zawołał Eryk — nie wiem doprawdy, czym ci odpłacić za to jak i za pielęgnowanie. Mnie, obcemu, uratowaliście życie. Czym się wam odwdzięczyć, powiedz?

— Odwdzięczysz się nam — odrzekła surowo — jeżeli nie staniesz się niewdzięcznym!

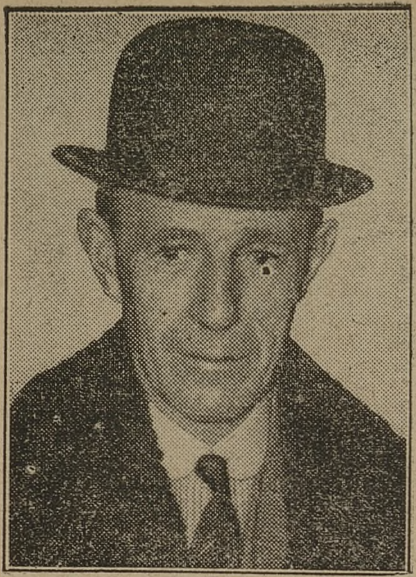
— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— Nie rozumiesz tego — mówiła dalej — a więc słuchaj: Manuelita jest jedyną moją wnuczką, dzieckiem mojej córki Carmen, która wcześnie zeszła do grobu! Ona jest piękna i dobra, ale krew jej jest gorąca i gorące jej serce. Pytam ją o ciebie. Opowiadała mi jak wyglądasz, a opowiadając, zdradziła się. Głos jej drżał namiętnością, gdy opisywała rysy twoje i postać, a ciepły rumieniec miłości wionął na jej twarz tak gwałtownie, że ja, choć ślepa, go poczułam. Tyś wzburzył w niej krew, widok twój wzniecił w niej burzę namiętności!

Dlatego zaklinam cię cudzoziemcze na głowę twej matki, na Boga, któremu służysz!

Nie sprowadzaj hańby na głowę Manuelity, nie łam młodego jej serca. Niech ona ci będzie świętą i nietykalną, jak siostra! Przysięgnij mi to!

Eryk sam już zauważył, że Manuelita ile razy zmienia opatrunek, albo go podnosi na łóżku, drży całą namiętnością i siłą musi się przemóc, by go nie przycisnąć do wezbranej miłością piersi dziewczęcej.



Po ustąpieniu ang. min. spraw zagr. Edena, tekę jego objął lord Halifax.

— Przysięgam na wszystko, co mi jest świętym — zawołał teraz wzruszony.

Żal mu było tej dziewczyny, która go uratowała, a dla której mimo woli stał się źródłem cierpień.

Postanowił też jak najprędzej, skoro tylko będzie mógł wstać, opuścić chatę wróżki.

Noc najbliższa, którą spędził w chacie utwierdziła go jeszcze w tym zamiarze.

Wzruszony przepowiedniami wróżki, późno w noc nie mógł zasnąć.

Leżał więc z otwartymi oczyma i nagle ujrzał, jak z przeciwległego kąta ktoś w bieli podnosi się na posłaniu.

Była to Manuelita.

Wstała z łóżka swego i cicho jak kot podeszła o kilka kroków w kierunku jego łoża.

Po chwili jednak przemogła się jeszcze, stanęła i skierowała się ku oknu.

Przy oknie, w świetle księżyca wpatrywała się w niebo i nerwowym ruchem szarpała na sobie koszulę.

Eryk patrzył na nią spod przymrużonych powiek, nagle jednak widząc, że zbliża się do niego, zamknął oczy, żeby się nie spostrzegła, że nie śpi.

Ona podeszła całkiem blisko do niego, uklękła i delikatnie, wstrzymując się całą siłą woli, pocałowała go w usta i w policzek.

Eryk udał, że rusza się we śnie i obrócił się do ściany, a ona spłoszona cofnęła się w kąt izby i nasłuchiwała.

Chcąc rozproszyć jej przykre i upokarzające wątpliwości, udał Eryk, że chrapie.

Nazajutrz rano Manuelita siedziała na progu, gdy ktoś nadszedł.

— Babciu! — zawołała dziewczyna — don Ferros chce się z tobą widzieć.

— Niech wejdzie — rzekła staruszka.

Do chaty wszedł wysoki mężczyzna w szerokim sombrero ze złotym sznurem, w kosztownym pasie, z drogocennymi pistoletami za pasem i srebrnymi ostrogami.

— A tu kto leży? — spytał niezadowolony, że ktoś jeszcze jest w chacie.

— Chory cudzoziemiec, którego z litości wzięłam do siebie.

— Ja chcę z tobą mówić sam na sam — zawołał Ferros rozkazująco — jeżeli nie masz drugiej izby, to wytransportuj tego cudzoziemca.

— To nie da się zrobić — odparła wróżka — on jest moim gościem i zostanie tu... Albo będziesz mówił w jego obecności, albo nic nie mów.

— Myślisz, że jesteś konieczna i niezbędna! — zawołał don Ferros, marszcząc brwi. Nie myśl, że wierzę niezbicie w twoją mądrość i tajemną siłę. Jeżeliś taka mądra, to powiedz, po co ja tu przyszedłem

Staruszka milczała chwilę, potem zaczęła uroczystym głosem:

— Przyszedłeś do mnie w sprawie swojej żony.

— Dalipan, że masz słuszność! — zawołał przybysz zdziwiony — słowa te napełniają mnie nową wiarą w twoją sztukę. Powiedz mi kobieto, czy mam powód do podejrzeń? Czy przyjaciel mój jest fałszywy, czy żona mi się sprzeniewierza? Powiedz mi czystą prawdę, abym mógł uratować swój honor i zabić winnych własną ręką!

— Widzę ogród — zaczęła Indianka pół szeptem — wieje ciepły wiatr zachodni, parno jest i duszno od zapachu kwiatów. Słyszę szepty w altanie jaśminowej. Słuchaj! Przystąpmy bliżej. Czy widzisz tam piękną, jak dzień pogodny kobietę, a u nóg jej klęczącego mężczyznę? To jest twoja żona i twój przyjaciel! Biegnij, spiesz do ogrodu i podsłuchaj ich, a potem sam osądź, czy oni cię zdradzają!

— Nie mam ani chwili do stracenia! — krzyknął obcy mężczyzna — muszę spieszyć.

Rzuciwszy jej na ziemię trochę drobnej monety, wybiegł jak szalony.

Stara stała milcząca, nie zmieniając pozy. Zmartwiałe jej oczy patrzyły tak trwożnie, jak gdyby coś strasznego zobaczyły. Nagle jęknęła głucho.

— Czy słyszałaś ten krzyk, Manuelito? — krzyknęła dziko. — Teraz don Ferros morduje swą niewierną żonę i tym samym sztyletem przebija podstępnego przyjaciela. Czerwieni się krwią biały kwiat jaśminu. Ciepłą krwią ziemia przesiąka. Jak ta kobieta jęczy! Jak ten mężczyzna charczy i walczy ze śmiercią! A don Ferros się śmieje. Czy słyszycie głośny dziki śmiech? Jest to ostatni śmiech na ziemi!

Umilkła starowina i patrzyła znów przed siebie, jakby widziała wizję.

Nieopisana groza przejęła Eryka na widok tej jasnowidzącej niewiasty; myślał ciągle nad tym, co jej pozwala widzieć ukryte rzeczy.

Wtem wbiegła do chaty starsza kobieta w chłopskim stroju.

— Czy słyszeliście? — krzyknęła przeraźliwie, czy wiecie już, co się stało w Guyaqualli?

Indianka patrzyła apatycznie przed siebie, nie odpowiadając ani słowem, a Manuelita rzekła:

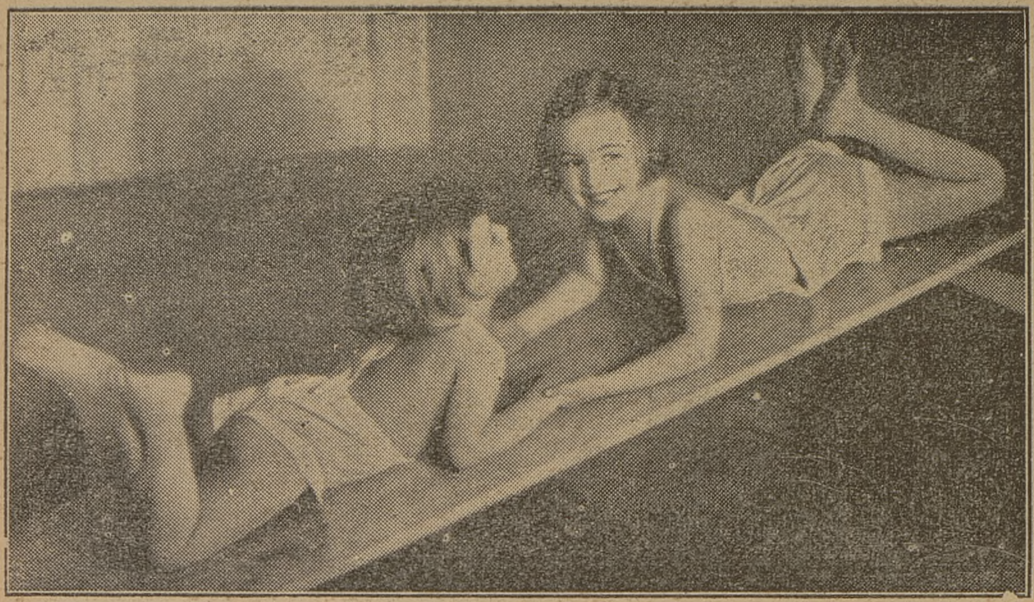
— Mów, bo my nic nie wiemy! Opowiadaj!

— Przed godziną Don Ferros zamordował żonę i przyjaciela swego, Don Estebana — opowiadała kobieta, zastał ich w jaśminowej altanie, w czułych objęciach, i taka wściekłość go porwała, że zabił na miejscu wiarołomców. Wieść ta rozeszła się jak ogień po Guyaqualli, a Don Ferros już został uwięziony.

— Więc jednak! — zawołała Manuelita, z drżeniem w głosie.

— Myślałam, że o niczym nie wiesz! — odpowiedziała świeżo przybyła. — Ale ja nie mam czasu i muszę biegnąć dalej!

To rzekłszy, odeszła spiesznie.



Ile uroku ma huśtanie się na prostej desce!...

Stara Indianka zdawała się nie zwracać na to uwagi.

— Babciu — zapytała Manuelita — czy słyszałaś, co opowiadała Ximena?

Staruszka nic nie odpowiedziała, a na twarzy jej nie drgnął ani jeden muskuł.

— Duch jej gdzieś błądzi — szepnęła Manuelita z świętą trwogą i zabrała się znów do swojej roboty.

Eryk patrzał z podziwem i tajemną grozą na starą, która tak godzinami siedziała nieruchoma.

Manuelita nie próbowała nawet podać jej jadła i napoju. Widocznie przyzwyczajona już była do podobnych napadów swej babki.

Śpiewając półgłosem, plotło młode dziewczę jakąś rogóżkę.

Nagle stara Indianka wyprostowała się i zażądała jedzenia, spokojnie, jak gdyby się nic nadzwyczajnego nie stało.

Manuelita spełniła również obojętnie tę prośbę.

Zdawało się, jak gdyby obie zupełnie już zapomniały o okropnym zdarzeniu tego dnia.

Manuelita obsługiwała Eryka teraz z pewną nieśmiałą rezerwą, która mu była sympatyczniejszą, niż hamowana namiętność, którą mu w początkach okazywała.

Na pięknej jej twarzy malował się wyraz tak głębokiego żalu, że Eryk szczerze się nad nią litował i postanowił jak najprędzej wybrać się stąd, aby swoją obecnością nie powiększać jeszcze trosk i bólów miłosnych biednej dziewczyny.

Po smacznie przespanej nocy, zbudził się Eryk tak pokrzepiony, że postanowił podnieść się z łoża.

Rany jego były, dzięki Manuelicie, prawie zupełnie zagojone.

Gdy wreszcie oświadczył kobietom, że ma zamiar wybrać się do Don Ippolita, oczy dziewczęcia napełniły się łzami, zaś stara Indianka rzekła zadowolona:

— Idź, obcy przybyszu, a Wielki Duch cię nie opuści!

Z wielką trudnością, gdyż członki jego jeszcze były całkiem sztywne, powlókł się hrabia do mieszkania Don Ippolita.

Kupiec, do którego mu bank berliński przysłał czek na pieniądze, gotów był wypłacić mu zaraz żądaną sumę.

Wracając od niego, wstąpił Eryk do sklepu jubilerskiego i kupił tam najpiękniejszy łańcuszek, jaki tylko mógł wybrać.

Był to prezent pożegnalny dla biednej Manuelity, ale czyż świecące złoto mogło wynagrodzić cierpienia serca, którego miłość nie znajduje wzajemności?

W pewnym oddaleniu od chaty starej wieszczki czekał Eryk, dopóki Manuelita nie wyjdzie z domu.

Dopiero, gdy ją zobaczył wychodzącą, wszedł po raz ostatni do chaty Indianki.

Słysząc otwierające się drzwi, podniosła starowina głowę i zwróciła ku wchodzącemu wygasłe swe oczy.

— Przyszedłem, aby wam podziękować — rzekł Eryk — i z wami się pożegnać! Zawdzięczam wam swe życie i nigdy wam tego nie zapomnę!

— Nie dziękuj mi, obcy przybyszu — odpowiedziała mu stara — wiem, dlaczego już dziś nasz dom opuszczasz i ja tobie za to dziękuję.

— Pozdrów Manuelitę ode mnie — rzekł jej hrabia na to — i daj jej tę paczkę. Jest to mały prezencik pożegnalny dla niej.

— Dobrze, odparła Indianka, ale teraz spiesz się, bo Manuelita przyjdzie. Moje błogosławieństwo z tobą!

Eryk uścisnął jej rękę i położywszy jeszcze na stole obok niej kilka złotych monet, aby ją za pobyt swój u niej wynagrodzić, odszedł z krótkim pozdrowieniem.

W najbliższej karczmie najął wóz i konie, które miały go zawieźć do następnego portu, bo był jeszcze zanadto osłabiony, aby pieszo móc tam zdążyć.

Z portu zamierzał udać się okrętem do północnej Ameryki. Meksyk wydawał mu się zanadto niebezpieczny.

W ciągu podróży myślał ciągle o pięknej Manuelicie.

Jak to ona przyjmie, że odjechał bez pożegnania? Czy żal jej będzie większy od gniewu?

Żałował szczerze biednej dziewczyny, która z jego powodu tyle wycierpiała i życzył jej w duszy, aby to przykre intermezzo prędko poszło w zapomnienie pod wpływem nowej, a szczęśliwej miłości.

Często w późniejszym swym życiu wspominał hrabia jeszcze starą wieszczkę z Guyaqualli i piękną Manuelitę, które tak silne na nim wywarły wrażenie.

ROZDZIAŁ CCLXXIV.

Ukryci pasażerowie

Dobrzy znajomi nasi Tulliwer i Waker nie czuli się bardzo wygodnie w swym schronisku, wśród przewracających się wciąż baryłek i beczek, ale mimo to byli szczęśliwi i uradowani.

Nie potrwało jednak pół godziny od chwili, w której okręt odbił się od portu, gdy usłyszeli z lądu wystrzał armatni i zobaczyli wystrzelające w niebo rakiety.

— Czy słyszysz, jak strzelają? — rzekł Tulliwer przestraszony — odkryli pewnie naszą ucieczkę i jak kapitan się zatrzyma, to jesteśmy straceni.

— Ależ jemu tak spieszno — perswadował mu Waker — a zresztą jest pewnie zabobonny jak wszyscy żeglarze i nie zawróci, bo to złe wróży!

— Oni urządzą pogoń za nami! — lamentował Tulliwer, klapiąc zębami ze strachu — wolałbym się już z Inez i Fides równocześnie ożenić niż wrócić do Botany-Bay!

Podczas tej rozmowy obu zbiegów w przedziale pakunkowym, rzekł kapitan do swego pomocnika:

— Zdaje się, że znów uciekł jakiś ptaszek z więzienia.

— Z pewnością — odpowiedział zagadnięty — może się gdzieś wsunął do naszego okrętu?

— Do diabła! — mruknął kapitan — tego nam jeszcze brak. Ale jakim sposobem mógł się wsunąć. Przecież straż by go musiała zobaczyć!

— Straż mogła być przekupiona — zauważył sternik — czy mam zatrzymać?

Kapitan zawahał się chwilę, a twarz jego spochmurniała. Widocznie toczyła się w nim wewnętrzna walka między poczuciem obowiązku, a zabobonem. Ale zabobon był silniejszy.

Nie zatrzymam! — rzekł stanowczo. — Niemożliwe, aby ten uciekinier znajdował się na naszym okręcie, a ja nie mam najmniejszej chęci psuć sobie podróży.

— Jak pan kapitan rozkaże! — rzekł sternik — obawiam się tylko, abyśmy nie mieli wielkich nieprzyjemności z tego powodu.

— Ba! — pocieszał się kapitan — mogliśmy nie słyszeć sygnału i nie widzieć rakiet z tak wielkiego oddalenia!

Żaden z oficerów nie odważył się sprzeciwić kapitanowi.

Tulliwer i Waker oczekiwali z bijącym sercem chwili, w której okręt się zatrzyma i nie uspokoili się zupełnie nawet wtedy, gdy zobaczyli, że okręt płynie dalej.

— Jesteśmy już tak daleko, że nas nie dogonią czółnem — pocieszał się Waker — jesteśmy uratowani.

Zaczęli rzeczywiście wierzyć w to, że niebezpieczeństwo minęło i przez chwilę oddawali się radości, lecz wkrótce uczuli głód i pragnienie i zaczęli się posilać chlebem, mięsem i popijać rum, w który się przezornie zaopatrzyli.

Nasyciwszy się nieco, rozciągnęli się obaj na deskach i zasnęli wkrótce smacznie po niepokojach i irytacjach ostatniej nocy.

Gdy się obudzili, byli już daleko od Botany-Bay.

— Trochę nam ciasno, co? — rzekł Tulliwer do swego towarzysza.

— I diabelnie ciemno — skarżył się Waker.

Zapomnieli o grożącym im niebezpieczeństwie i zaczęli odczuwać niewygody swego schroniska.

— Wiesz co, Tulliwer? — możebyśmy się zgłosili u kapitana i zapłacili mu, tak-

się przejażdżki. Mamy chwała Bogu za co i stać nas na lepsze wygody i porządny wikt.

— Ach, ty głupcze! — irytował się Tulliwer — czy ty wiesz, co mówisz? Gdy się teraz do niego zgłosimy, to on nas wyda władzom, skoro tylko do portu przybije, a tam nas okują i odeślą następnym statkiem do Botany-Bay. Miałem cię dotychczas za mądrzejszego. Co do mnie, to znoszę z lekkim sercem te drobne niewygody z nadzieją spokojnego, bezpiecznego życia, bo przekonałem się, że tylko w cnotliwym życiu leży szczęście.

— Dalipan, że masz słuszność — mruknął Waker — kapitan by z nami zrobił krótką sprawę!

Zamyślił się głęboko, a potem rzekł badawczo:

— A więc ty chcesz zacząć cnotliwy żywot! To bardzo pięknie brzmi. Czy sprowadzisz może swoją żonę?

Tulliwer wzdrygnął się na tę myśl.

— Uchowaj Boże — odparł z wzbraniającym ruchem — dziękuję Bogu, że mnie morza i lądy oddzielają od niej.

— Nie mogę ci tego wziąć za złe — zaśmiał się Waker — ale chcesz się w Ameryce znowu ożenić?

— Nie, dość już mam tego dobrego! — zapewniał go Tulliwer. — Ale myślę rzeczywiście serio spoważnieć i zacząć nowe, porządne życie. Przyszedłem bowiem do przekonania, że to jest najmądrzejsze co człowiek może zrobić. Poczciwością przecież najdalej się w świecie zachodzi! Lecz chciałbym sobie teraz papierosa zapalić, czy masz zapałki przy sobie?

— Nie, — kłamał Waker — zgubiłem je gdzieś!

W rzeczywistości miał je w kieszeni i obawiał się tylko, aby z nieostrożności towarzysza ogień nie powstał.

— Jesteś do niczego! — zburczał go Tulliwer.

Potem obydwaj honorowi ludzie zapadli w głębokie, ponure milczenie.

Na pokładzie zaczęło się wszystko uciszać. Wreszcie dochodził ich już tylko monotonny odgłos kroków straży.

Noc zapadła.

— Wiesz co? — ozwał się znów Tulliwer teraz możemy wyjść trochę na świeże powietrze, bo ja się duszę w tej ciasnej dziurze. Nie zaszkodzi nawet. jak nas straż zobaczy. Nie będą oni tak nielitościwi, aby nas biednych zdradzić.

— W najgorszym razie możemy ich przekupić — odparł Waker, któremu myśl odetchnięcia świeżym powietrzem także się uśmiechała.

— Albo uczynić go w inny sposób nieszkodliwym! syknął Tulliwer, a piękną jego twarz zeszpecił złowrogi błysk oczu.

Zamiar poprawy nie pochodził widocznie z serca, kiedy mógł z zimną krwią myśleć o sprzątnięciu ze świata niewinnego człowieka, aby tylko sobie zapewnić bezpieczeństwo.

Obaj towarzysze zbliżyli się teraz ostrożnie do drzwi, ale nie mogli ich w żaden sposób mimo wspólnych, natężonych wysiłków, otworzyć.

— Diabelnie! — zaklął Tulliwer.

— Bomby i granaty! — sekundował mu Waker.

— To jest nikczemne! — oburzał się znów pierwszy z nich.



Na Niemnie pod Tylżą utworzył się groźny zator lodowy.

— To jest niepoczciwe! To jest nieludzkie! To jest podłe — irytował się drugi — mamy się tu udusić w tej nędznej dziurze?

— Czyż ja nie ślubowałem poprawy? — odezwał się znów Tulliwer lamentującym głosem. — Tak Bóg przyjmuje obietnice skruszonego winowajcy? A przecież w piśmie świętym jest napisane:

W niebie więcej jest radości z powodu jednego nawróconego grzesznika, niż z 99-ciu sprawiedliwych!

— Tulliwer, ja znalazłem dla ciebie stosowny zawód — szydził Waker — gdy będziemy w Ameryce, musisz zostać kaznodzieją!

— Jeżeli w ogóle żywi tam dojedziemy — westchnął Tulliwer — ale ja się obawiam, że my tu zginiemy w tej przeklętej dziurze.

— Tak źle nie będzie — pocieszał go Waker — nasz przyjaciel, ten majtek, z pewnością do nas zajrzy, skoro znajdzie wolną chwilę, w której będzie to mógł uczynić bez narażenia siebie i nas na odkrycie.

— A nim do tego przyjdzie, to nas już nie będzie — irytował się Tulliwer. — Co teraz poczniemy? Widzę tu ciężką belkę, może nią potrafimy wyważyć drzwi?

— Na Boga, nie ryzykujmy! — ostrzegał go Waker — zbudzilibyśmy tym całą załogę. Wylecieliby na pokład, aby zobaczyć skąd pochodzi skrzypienie, odkryliby nas, no, i bylibyśmy straceni! Nie, musimy się poddać cierpliwie naszemu losowi.

— To znaczy w tym wypadku: zginąć jak szczury w łapce! — zawodził Tulliwer.

— O śmierci wcale jeszcze nie myślę — zapewniał go Waker — musimy tylko teraz szczędzić trochę na żywności, aby nam wystarczyła na dobry tydzień i uważać, aby się te obrzydliwe szczury tu do zapasów naszych nie zakradły. Dopiero przed chwilą przeleciał mi jeden przez nogi!

— A mnie przez twarz — rzekł Tulliwer, trzęsąc się z obrzydzenia — gdybym miał trochę drzewa, spróbowałbym zrobić łapkę na szczury. Umiałem to bardzo dobrze, gdy jeszcze byłem młodym chłopakiem.

Obaj zaczęli równocześnie szukać po ciemku za drzewem, ale usiłowania ich były bezowocne.

Tymczasem szczury zaczęły się coraz odważniej wysuwać ze swoich kryjówek i uwijać się tak skrzętnie i żwawo, jak gdyby miały tu prawo obywatelstwa.

— Gdyby tak mieć broń i wystrzelać te bestie — mruknął Waker — musimy dobrze schować nasz prowiant, aby się te bydlęta do niego nie dostały!

Tulliwer przełożył paczkę na wysoką beczkę.

— Więcej nic zrobić nie można — rzekł gniewnie — ale obawiam się, że i to nie wiele pomoże; one i tu wskoczą!

Waker pokiwał smutno głową.

— Co teraz mamy począć? — spytał po chwili.

— Nie możemy nic innego zrobić jak zasnąć — odparł Tulliwer — przynajmniej zapomnimy trochę o swojej biedzie.

— Ciągle spać także nie można — mruknął jego przyjaciel — nie jesteśmy przecież bobrami!

— Jak ci się moja myśl nie podoba, to podaj lepszą, odciął się Tulliwer obrażony.

— Nie mam niestety lepszej — rzekł Waker, skrobiąc się po głowie.

— To trzymaj przynajmniej gębę! — ofuknął go jego towarzysz szorstko.

— Przecież mi się jeszcze wolno odezwać — krzyknął Waker — nie jesteśmy chwała Bogu w więzieniu.

— Ale dość prędko znów się do niego dostaniemy, jak będziesz tak dalej wyprawiał — oświadczył Tulliwer — wrzeszczysz i hałasujesz, jakbyś umyślnie chciał zbudzić załogę ze snu. Chcesz widocznie poznać urządzenia amerykańskich aresztów. Mogę ci już z góry powiedzieć, że i tam nie urządzą bram triumfalnych, na nasze przyjęcie.

Waker mruknął coś niewyraźnie pod nosem; potem nastało ponure milczenie.

Po pewnym czasie usnęli obydwaj z nudów i spali smacznie na twardych, gołych deskach okrętu.

Tulliwer zbudził się pierwszy. Przekonawszy się, że towarzysz jego jeszcze śpi, złapał prędko duży kawał mięsa i grubą kromkę chleba i zjadł to prędko schowawszy się za wysoką beczkę.



Jednym z najpiękniejszych sportów jest jazda na t. zw. bojerach (żaglowcach lodowych).

Po pewnym czasie zbudził się Waker i wyciągnąwszy się ,zawołał:

— Ależ jestem głodny, że wilka bym zjadł. Śniadajmy zaraz!

— Kochany przyjacielu — odrzekł Tulliwer — zaczekajmy jeszcze z godzinę. Musimy teraz ogromnie oszczędzać, abyśmy wystarczyli z naszymi zapasami.

— Słusznie — rzekł Waker — ale mnie aż mdło z głodu — muszę koniecznie coś przekąsić.

Na to odpowiedział Tulliwer z godnością:

— Trzeba się umieć przezwyciężyć; prawdziwy mężczyzna znosi bez szemrania wszelkie niedogodności. Popatrz na mnie! Mnie się żołądek aż kurczy z głodu, a przecież się powstrzymuję i nie wezmę ani kęsa do ust, nim nie usłuszę sygnału obiadowego. Ty także tak długo musisz wytrzymać.

— Spróbuję — rzekł zrezygnowany Waker.

Tulliwer zaś śmiał się w duchu, że tak potrafił oszukać swego towarzysza.

Gdy w południowej porze zabrali się do skromnych swych zapasów, rzekł Tulliwer:

— Jak prędko ubywa nasz prowiant! Jestem ledwo pół syty, a tu już bochenek chleba się kończy, a z szynki kość prześwieca.

Jego towarzysz zrobił w myśli tę samą uwagę i zaczął już podejrzewać Tulliwera, po głośnej skardze tego ostatniego ,jednak jego nieufność znikła i westchnął tylko wobec smutnego faktu, że ich zapasy zmniejszają się tak gwałtownie.

— Może znajdziemy tu coś do jedzenia — rzekł po chwili.

— Daremna nadzieja — była odpowiedź Tulliwera — nie ma tu nic prócz łoju i skór. Widzę już, że będziemy się pod koniec musieli żywić szczurami, aby nie zginąć z głodu.

— Przestań — wstrząsnął się Waker — bo mi się wszystko przewraca na samą myśl.

— Wierzę, że ci nie będzie smakowało — szydził Tulliwer. — Mama Snob dawała ci lepsze przysmaki, co? O, będę do końca życia z przyjemnością wspominał jej wyborne obiady i kolacyjki! Miała świetną kucharkę!

— Gdyby tak coś z tych dobrych rzeczy teraz tutaj mieć — westchnął Waker.

— Trzeba ściągnąć żołądek rzemykiem i koniec — rzekł Tulliwer smutno.

— Zamiast mrzeć z głodu w tym dusznym, wstrętnym powietrzu, można było lepiej zostać w Botany-Bay — mruknął jego towarzysz — tam przynajmniej było co jeść i można się było obracać.

— Teraz klamka zapadła — rzekł Tulliwer energicznie — nie pomogą skargi i westchnienia. Te twoje babskie lamenty, do wściekłości mnie doprowadzają.

— Twoja złość jest mi obojętna — odparł Waker obrażonym tonem — spodziewam się, że mi wolno mówić to, co myślę.

Obaj galernicy zaczęli patrzeć na siebie nieprzyjaźnie i nie dużo brakowało już do namacalnych dowodów miłości.

Kłócąc się i narzekając, odszedł wreszcie każdy z nich na swoją beczkę.

Żaden z nich nie chciał przerwać milczenia, każdy czekał, aby jeden z nich pierwszy podał rękę do zgody, i tak zeszła reszta dnia w ponurym milczeniu.

Późno wieczorem sięgnął Tulliwer po prowiant ,aby się posilić, lecz Waker zawołał gniewnie:

— Zaczekaj! Nie spiesz się tak! Rozdzielimy resztę naszych zapasów na dwie równe części, a potem każdy będzie mógł jeść kiedy i ile chce.

— Nie ufasz mi? — spytał Tulliwer szyderczo.

— Wierzę, o ile zmierzę — rzekł Waker wyzywająco — a że w tej diabelskiej norze bardzo mało widać, więc mało ci też ufam.

— Przynajmniej jesteś szczery — odparł Tulliwer gorzko ,nie sprzeciwiał się jednak podziałowi prowiantu i czuwał tylko nad sprawiedliwością w podziale.

Po tej separacji spożył każdy z nich bardzo skromną wieczerzę i każdy z osobna zapakował swoją część starannie w kawał workowego płótna.

Rzuciwszy złowrogie spojrzenie na towarzysza, podsunął każdy z nich swoją paczkę pod głowę, przymknął oczy i starał się zasnąć.

Ale dziś głód nie dał im zasnąć.

Przewracając się na twardych deskach, poczuł Waker po raz pierwszy w swoim życiu skruchę i żal, na myśl o swych zbrodniach.

Przed oczyma duszy stanęły mu wszystkie jego ofiary: nieszczęśliwe dziewczęta, które zbeszcześcił i unieszczęśliwił. Widział ich blade, wynędzniałe twarze i załzawione oczy i przewracał się, stękając, z boku na bok, przez kilka godzin.

— Przecież ja tak źle nie myślałem! — mruknął — wreszcie wina to mojej młodości i braku wychowania.

— Co tam mruczysz pod nosem? — — zapytał go przyjaciel ciekawie.

— Mówiłem we śnie — uniewinniał się Waker — mam straszne pragnienie i z powodu tego bardzo źle dziś śpię.

— Wiesz co? Wypijmy jeszcze tę resztę wody i rumu, który mamy w zapasie — zaproponował Tulliwer — pragnienie okropnie męczy!

Waker zgodził się chętnie na tę propozycję. Ugasiwszy pragnienie, rzekł smutnym głosem:

— Jeżeli się teraz nasz przyjaciel nad nami nie zlituje, to jesteśmy straceni! Bez kropli wody przecież żyć nie można!

Tulliwer zapatrzył się ponuro w podłogę, wreszcie zawołał:

— Muszę się raz przynajmniej porządnie najeść, bo się już na nogach nie mogę utrzymać z głodu!

Przy tych słowach otworzył swoją paczkę i zaczął skwapliwie połykać resztki swego prowiantu. Waker namyślał się jeszcze chwilę, ale niebawem poszedł za przykładem towarzysza. Najadłszy się do syta, położyli się i wnet zasnęli.

Gdy po kilkugodzinnym śnie obudzili się, miał każdy z nich uczucie, jak gdyby był właśnie usłyszał wyrok śmierci.

— Ile masz jeszcze ze swego prowiantu? — zapytał Tulliwer.

— Twardy jak kość kawałek chleba i kość szynki — żalił się Waker — a ty?

— Mały kawałek chleba i cienki płatek słoniny — była niepocieszająca odpowiedź — jak to zjem, będę musiał polować na szczury.

— Gdyby ci się tylko udało !— odpowiedział Waker — są tu ogromne okazy! Może mięso ich nie jest nawet tak złe, jak utrzymują!

— Surowe, bez soli, nie będzie pewno wielkim przysmakiem — zauważył Tulliwer, poczem znów obaj zamilkli.

Każdy z nich obawiał się dotknąć ostatniego kawałka chleba. Siedząc zadumani na swych beczkach, zwilżali od czasu do czasu językiem spalone usta.

Schyliwszy się nad wiadrem, aby zobaczyć, czy choć kilka kropel wody jeszcze na dnie nie pozostało, wydał Waker radosny okrzyk. Na dnie cebra siedział tłusty wypasiony szczur, który wskoczył tu również za wodą.

Zwinnym ruchem złapał Waker siedzące tam zwierzę i skręcił mu kark. Następnie wyjął scyzoryk i zaczął z ciepłego jeszcze szczura ściągać skórę i wyciągać wnętrzności.

— Gdyby to tak można gdzie upiec — rzekł Tulliwer — surowy nam pewnie nie będzie smakował.

Ciąg dalszy na str. 193.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

CZEMUM SMUTNY?

Czytając moje słowa, na papier przelane,
moje słowa tak smutne, jak bólem przetkane,
zapytujecie często: czemu tak się dzieje?
Czemu z tych słów wiązanych taki smutek wieje?
Czemu, w tak młodym wieku, bólem drga pieśń moja?
Czemu w smutku mym jeno widoczna ostoja?
Odpowiedzieć się godzi na wasze pytania
i wyjaśnić te częste w moich słowach łkania.
A odpowiedź jest prosta, zwięzła i — niemiła:
Od początku dni moich dola wciąż mnie biła.
Los mnie smagał płomieniem, nie szczędził ni razu,
trudno więc dziś radością zapłonąć od razu.
Do światłości i nieba szedłem w krwawym trudzie,
przeciw mnie wciąż stawały szakale — nie ludzie.
Zatruto mi dni wszelkie i wszelkie godziny,
bez najmniejszej widocznej z mojej strony winy.
W tej walce o los własny, ogień Jowiszowy,
podejmowałem ciągle trud coraz to nowy.
Aż gdy w końcu stanąłem pod górą Parnasu,
na radość i wesele zabrakło już czasu.
Trudno dzisiaj zawracać do młodości progu
i szukać róż pachnących wśród cierni i głogu.
Dlatego już, niestety, tak pozostać musi,
chociaż radość, beztroska, jakże często kusi!...

Adam Czekalski.

MAM POSADĘ

„Biała Uajali". Oj, dużo dałaś znowu komunikatów — daję je do druku, ale już nie roztrząsam treści całego listu, bo doprawdy za wiele zabrałoby to miejsca.

W sprawie podręczników zwróć się proszę do Zakładów Ogrodniczych — C. Ulrich, Warszawa, ul. Ceglana 11.

Prowadzą tam różne dobre pisma i książki ogrodnicze. Ja podam Ci kilka tytułów. A więc:

St. Brzósko — Pasieka w ogródku miłośnika. E. Jankowski — Przeszczepianie drzew owocowych. Brzeziński — Hodowla warzyw. St. Brzozowski — Hodowla warzyw pod szkłem.

Książkę kucharską otrzyma ta pani razem z czwartym numerem „Mojej Przyjaciółki".

A teraz Twój apel i potem jeszcze komunikaty:

„Halo! Tu „Biała Uajali". Mam wakującą posadę ogrodniczki — pszczelarki, jak również kucharki w majątku na Podlasiu.

Gdyby, która z siostrzyczek z „Krainy" chciała objąć którąś z tych posad, proszę się ze mną skomunikować pod adres: Poste - restante Kossów-Lacki (lubelskie) dla: Kaji. Nadmieniam, że dom b. kulturalny, okolica cudowna, opodal majątku osada — miasteczko, stacja w miejscu, poczta, kościół. Miejscowość oddalona od mego miejsca zamieszkania 2 i pół km. Najchętniej widziana Wielkopolanka lub Pomorzanka, niewykluczone inne dzielnice. Szczególny nacisk na pszczelarstwo. Pośpiech wskazany, bliższe szczegóły ze mną listownie, znaczek na odpowiedź"!

Proszę o list z adresem p. Niusię Miłoszewską! Proszę również, by ktoś z ogrodników — pszczelarzy zechciał zawrzeć ze mną kontakt listowny. Korespondencja — sądzę — będzie interesująca.

„Romantyczny Śpiewaku". Proszę tą drogą Pana o zwrot fotosów. List nie odniósł oczekiwanego skutku. Czekam!

Dla wszystkich sympatyków ślę piękne pa! Panu Czekalskiemu za piękny wierszyk i serdeczną pamięć ściskam dłoń. Panu Płóciennikowi ślę moc uznania i sympatii. Dla P. Baranowskiego śliczne pa! i uśmiechy! — Dla mojej „piątki" mocne uściski i ucałowania! —

„Takiemu - Jednemu" ślę pozdrowienia i uśmiechy. Nie gniewaj się Ziku — poprawię się!

Stef! czekam listu! Jak przyjąłeś moje zmiany życiowe — ściskam szlachetną dłoń!

„Iste Wenus". Uśmiecham się — cudnie tu u mnie, a w duszy znów wiosna, wierzę i Ty wierz i jeśli pragniesz — pisz, czekam!

„Leśnemu Przybłędzie", „Dziewczęciu z gór", „Smutnej Kazience", „Dumce" moc pozdrowień! Uznanie dla P. K. Pompowskiej za nastrojowy wierszyk p. t. „Chciałabym" i pozdrowienia!

PAMIĘTAJ!

„Wesoła Ślązaczka". Cieszy mnie z jednej strony fakt, że jesteś, jak piszesz, szczęśliwa, lecz z drugiej mam trochę niepokoju z racji tej — raczej napiętej, nerwowej wesołości, którą okazujesz. Myślę, że to nie jest radość szczera, płynąca z głębi serca, lecz sztuczna. Bierze ona początek w obrażonej dumie i hardości — ludzie Ci dużo krzywdy wyrządzili, a Ty się teraz mścisz niekrwawo i nieboleśnie, lecz niemniej silnie przez lekceważenie ich za pomocą śmiechu. Jest tak — prawda?

A ja Ci mówię, że to Ci nie da wewnętrznego zadowolenia i prawdziwego spokoju. Duma zadraśnięta nasuwa ten rodzaj odpłaty i ona też pozwala Ci mieć złudzenie zadowolenia, lecz wierz mi, że nie na długo, bo rychło odezwie się serce, kobiece wrażliwe serce i — poczujesz się od nowa zgnębiona! Prawdziwe zadowolenie i prawdziwą radość może dać tylko przebaczenie — pamiętaj!

Proszę Cię o przemyślenie powyższego i częste listy do mnie. Pragnę, abyś rychło już znalazła prawdziwe, niekłamane szczęście!

„Samotna Włościanka". Kochanie — może napiszesz do mnie.

Miłe pozdrowienia dla „Myśliwego"!

„Dziewczę z Gór" może zechce mi coś napisać o swej okolicy — ja lubię się włóczyć po górach!

„Samotny — Chorzów I." Życzę spełnienia marzeń!

„Ar". Dziękuję za udzielenie dobrych rad „Smutnej Ślązaczce". Wszystkim Ślązaczkom i Ślązakom miłe pozdrowienia od „Wesołej Ślązaczki".

STRESZCZAM SIĘ!

„Jadzia". Kochanie! Dziękuję Ci mocno za słodki list — Ty zawsze jesteś mi promykiem i radością! Cieszę się ogromnie, że tak wesoło i przyjemnie spędziłaś karnawał.

Czy już byłaś w Bydgoszczy i dokąd to teraz poniosły bogi Twoja „latającą" osóbkę?

Piszę Ci mało, bo mam masę listów do załatwienia, a moje pociechy coś wielce się niecierpliwią. Aby ich zadowolić, streszczam się w odpowiedziach do minimum.

Więc całuję Cię i czekam na ten przedługi list!

„Przedwiośnie". Ślicznie dziękuję za pozdrowienia, ślę ich również moc!

„Orlica". Chciałabym z Panią korespondować — pozdrawiam!

„Samotny P. F." i „Myśliwy" — przesyłam dużo pozdrowień! Całej „Krainie" dużo serdeczności!

CZEKAM NA ADRES!

„Urwisz". Powiedz mi, Dziewczynko, pod jakim właściwie pseudonimem chcesz figurować w „Krainie"? Podpisujesz się „Urwisz", a listy prosisz kierować pod: „Skowronek"?... Ja tego nie rozumiem. Z drugiej strony — chcicj, zrozumieć, że abym Ci listy dostać mogła, muszę mieć Twój adres. Więc nadeślij mi go szybko, a potem dopiero przyjmę Cię do naszego grona.

Pozdrawiam Cię i czekam na nadesłanie adresu!

PODZIELAM TWOJE OCZEKIWANIE

„Czarnulka ze Świecia". Dobrze, Dziecino, że nie chorujesz na nudy, lecz zawsze i wszędzie potrafisz sobie znaleźć zajęcie, a dzięki niemu — zadowolenie.

Podzielam twą radość i oczekiwanie nadchodzącej wiosny — dałby Bóg, aby była słoneczna i ciepła!

List przesłałam — czy otrzymałaś już odpowiedź?

Posyłam Ci wesoły uśmiech i życzenie dalszego zadowolenia z życia!

ZMIENIONY ADRES

„Mary z Gdyni". Owszem, godzę się na zmianę pseudonimu Pani i życzę, abyś pod nowym czuła się równie bliską „Krainie", jak pod tym dawnym.

Zadowolona jestem niezmiernie, że praca w urzędzie nie męczy Cię zbyt silnie i że masz do niej zamiłowanie!

Rozumiem Twoje pragnienie szerszej wymiany myśli z członkami „Krainy" i wielce będę zadowolona, gdy po niejakim czasie doniesiesz mi, że masz wśród nas kilkoro serdecznych przyjaciół.

Pozdrawiam Cię miłe i przekazuję Twoje pozdrowienia „Blance", „Samotnej z Duszy", „Samotnemu Chorzów I." i „Erosowi".

OTRZYMASZ!

„Ar". Sprawę Pani przekazałam naszej administracji i sądzę, że już otrzymałaś zaległe numery. Wina tu jest raczej po Pani stronie, gdyż zalegasz z opłatą coś więcej, jak kwartał, a to jest termin, po którym nasze wydawnictwo wstrzymuje wysyłkę pism. Teraz, gdy już nadesłałaś mi wyjaśnienie — otrzymasz znowu przekazanie.

Pozdrawiam Cię serdecznie i oznajmiam w Twoim imieniu „Krainie", że bardzo prosisz o pamięć i listy!

DZIĘKUJEMY!

„Heniek" przesyła nam moc serdeczności z pobytu w Krakowie.

Dziękujemy Panu za pamięć i życzymy dużo przyjemności i wrażeń.

Ponadto prosimy o długi, długi list!

ZAMIESZCZAM APEL

„Rybak z Helu". Ładnie to z Pana strony, że odezwałeś się na apel Sympatyczek, a i mnie było przyjemnie przeczytać znowu list Twój i przypomnieć sobie starego (nie wiekiem oczywiście) „Krainiaka".

Pozdrawiam Pana serdecznie i zamieszczam apel:

„Halo! Halo! Tu Rybak z Kuźnicy na Helu — znany niektórym sympatyczkom i sympatykom „Krainy", młody wilk morski. Pragnę odnowić korespondencję z „Krainiakami".

Lubię bardzo sport, a więc bujać na falach Bałtyku, jeździć na rowerze, łowić ryby.

Serdecznie pozdrawiam i ściskam rączki „Żymełki".

Dla całej „Krainy" serdeczności i zapewnienie, że chętnie odpowiem na każdy list!

PRZESYŁA POZDROWIENIA

„Dajne". Przesyła nam pozdrowienia z Bydgoszczy, dokąd wpadła na dni kilka.

Bardzo dziękujemy za pamięć i w odwzajemnieniu życzymy Ci wszystkiego najlepszego!

Cieszy mnie, że znalazłaś miłą współkorespondentkę wśród nas. Jeżeli chodzi o „Krainiaka", to może dużo punktów stycznych w pisemnej wymianie myśli, mielibyście z „Wesołym Broneczkiem", „Przybłędą Leśnym", „Złotym Jabłkiem".

Pisz często i obszernie i bądź nam wesołą i pogodną, jak dotąd.

TO SPRAWA NASZEJ ADMINISTRACJI

„Wytworny Włóczęga". No, no, że to taki duży i wcale przystojny mężczyzna nie miał odwagi zadość uczynić swej chęci odwiedzenia naszej redakcji podczas przejazdu przez Żnin! Aż trudno mi w to uwierzyć i doprawdy jestem mocno zgorszona taką nieśmiałością.

Jednakże mam niekłamaną nadzieję, że w przyszłości nie omieszka Pan się poprawić!

Proszę mi wytłumaczyć, jak się to stało, że braknie Panu aż tyle numerów „Moich Powieści". Właściwie to nie dosyła się powtórnych egzemplarzy. Jeżeli jednak nie otrzymał ich Pan z naszej winy, to proszę się z tym zwrócić do naszej administracji.

Żegnam Pana serdecznie i w Jego imieniu przekazuję wyrazy pozdrowień „Stefci", „F. S." z Kitnowa i „Heń - cze - sem".

NALEŻY ZDECYDOWAĆ SIĘ NA JEDEN PSEUDONIM

„Szara Fala“. Wierz mi, że nie myślałam absolutnie w czasie czytania Twego listu, że jesteś dziwaczką, czy czymś podobnym — poprostu pomyślałam sobie, że masz duszyczkę trochę poetyczną i stąd ten ultra nastrojowy ton listu. I nie omyliłam się — przy końcu piszesz, że jesteś jedną z klientek — że się tak wyrażę — Wujka Janusza. Zatem tym łatwiej przyjmuję Cię do „Krainy“. Jedno jednak zastrzegam, mianowicie, abyś zdecydowała się na jeden z tych dwóch pseudonimów.

Dziękuję Ci za wszystkie wyrazy uznania i zachwytu, jak również za serdeczny podtytuł. Życzę, abyś szybko wrosła w naszą „Krainę“ i bywaj mi!

OWSZEM!

„Wacusiewicz“. Dobrze, że mi Pan przypomniał o tej fotografii — od razu przeglądnęłam album „Krainy“ i, rzecz jasna, znalazłam Pana podobiznę. Owszem, dam chętnie fotografię Pana do „Krainy“, ale proszę mi przysłać inną, wykonaną u dobrego fotografa, aby była bardzo wyraźna i oczywiście na błyszczącym papierze! Ta, którą mam w tej chwili przed sobą, nie nadaje się do reprodukcji — jest matowa i zbyt jasna. Więc czekam na rychłą przesyłkę!

Prenumeratę ma Pan opłaconą do grudnia ub. roku włącznie.

Proszę mi napisać więcej o sobie, bo już dawno nie pomówiłeś ze mną dłużej, Mój Ty rozwiązywaczu „Chwili zastanowienia“!

Pozdrawiam serdecznie i życzę dużo pomyślności!

WIERZĘ!

„Wisia“. Dziecino, to niedobrze, że chorujesz na serce — wiem, że to bywa niebezpieczne. Postaraj się koniecznie o dużo spokoju wewnętrznego, o małe słoneczne radości — nie myśl już o sprawach dawnych, tak przykrych!

Cieszę się, że znalazłaś absorbujące Cię zainteresowanie, że daje Ci ono zadowolenie. Tak, Maleńka, to jest szlachetna i nieoceniona praca — ona Cię ukoi na pewno!

A wierzę również, że wśród „Krainiaków“ znajdziesz pomocną, pokrewną duszę.

Bądź mi zdrowa, Kochana Moja, i pisz często bo niepokoję się stanem Twego zdrowia.

WZRUSZYŁAŚ MNIE

„Wesoła Pomorzanka“. Och, Ty mały Smyku! Kto to widział wybierać mnie sobie aż.... za przemiot cudnych snów! Swoją drogą, że był on czarowny i mocno wzruszający.

Jak się to stało, że zdążyłaś pokochać mnie tak silnie?!

I pomyśleć, że ja nawet nie mam jeszcze Twego adresu i chowam w teczce list od jednego z „Krainiaków“ w tej miłej nadziei, że już niedługo będę mogła go dosłać pod właściwy adres.

Dziękuję Ci, Maleństwo, bardzo serdecznie za codzienne westchnienie do Boga na moją i „Krainy“ intencję. Pierwszy raz dowiaduję się, że Siostrzyczka z „Krainy“ modli się za całą bez wyjątku wielką swą przybraną „Rodzinę“!

„Sportsmenko z Kujaw“ — ślę wesołe „pa“! Napisz!

Halo! Halo! P. Jadziu P. z T. całuję różową buzię, tak samo siostrzyczce Jance. Zgadnij kto, Dzinko!

„Młody Orle“ — przyjm braterski uścisk dłoni i radosne uśmiechy.

„Przybłędo Leśny“, „Myśliwy“ — ślę moc pozdrowień.

A teraz jeszcze raz dziękuję za przyjęcie i pozdrawiam Panią i całą „Krainkę“!

PRZYJMUJĘ!

„Blondyn spod Grudziądza“. Przyjmuję Pana również do „Krainy“ z życzeniem, aby Cię ona przyjęła w zwykły sobie ciepły i bezpośredni sposób.

Jest Pan wysokim blondynem, lat 25, lubi Pan podróżować. Z „Krainianek“ wolałby Pan, aby napisały panie bez matury. Ponadto zaznacza Pan, że przy okazji zajedzie do Żnina i odwiedzi redakcję. Owszem, nie mam nic przeciwko temu! Myślę, że będzie się Panu podobała nasza miła, seledynowa redakcja.

Pozdrawiam Pana i czekam na nową wiadomość!

ODPOWIEDZ MI PROSZĘ!

„Fleur“. Przyjacielu Mój Drogi! Dlaczego nie mam od Ciebie tak długo listu? Czyżbyś czuł się bardzo źle zdrowotnie? Jestem tak niespokojna, że poprostu nie mogę już zwlekać z przesłaniem Ci niniejszego zapytania! Odpowiedz mi, proszę, choć w kilku słowach — wszak wiesz, że przychylna Ci zawsze byłam jak siostra i niezdrowie Twoje było nieustannym, a ciężkim kamieniem, tłoczącym mi serce. Tak mi boleśnie, tak smutno, że nie wiem o Tobie teraz nic!...

Jedna z najkochańszych moich „Krainianek“ też taki tragiczny smutkiem list mi przysłała, a potem zamilkła na zawsze. O, „Fleur“ — napisz mi, proszę!! !

Tak serdecznie, tak tkliwie chwytam Twoją jasną dłoń i mówię Ci ciepło: Nie choruj, Mój Przyjacielu!!!.

APEL

„Słoneczko II.“ Jak widzisz, nie pominęłam Twej prośby i zamieszczam apel:

„Halo! Tu „Słoneczko II“, które pragnie poważnej wymiany myśli z osobą zrównoważoną, inteligentną, mieszkającą na wsi. Zresztą to mniej ważne — ważniejsze jest to, aby wymiana myśli przyniosła mnie i „Krainiakom“, którzy mnie zauważą — zadowolenie!

Pozdrawiam całą „Krainę“.

CZEKAMY!

„Czarodziejka“. Dziękuję Pani w swoim i całej „Krainy“ imieniu za serdeczne pozdrowienia, które przesłałaś nam z Nowego Miasta Lub.

Życzymy Ci przyjemności i czekamy na bardzo długi list, tudzież nowy transport wierszy, przeznaczonych do teczki Wujka.

SĄDZĘ!

„Dziewczę z małego domku“. Sądzę, Mała Dziewczynko, że dla Ciebie z przyjemnością poszukam w „Krainie“ i swoim własnym sercu ten „mały kącik“, o który Ci tak bardzo chodzi! Ujęłaś mnie niesłychanie tym pierwszym listem i dziękuję Ci, zarówno za słowa uznania, jak za inwokację do Boga, aby był na mnie łaskawy. Wzruszyłam się — doprawdy!

Z kolei ja życzę Ci dużo zadowolenia w kontakcie z „Krainą“ i tego, aby Ci, których prosisz o listy, posłuchali Twego apelu i przynieśli Ci w swych listach dużo pogody i słońca!

A są to: „Samotna Rusałka“, „Samotny Rom“, „Samotny P. F.“, „Samotny Chorzów I“, „Zefir Zachodu“ i „Myśliwy“.

Teczka Wujka Janusza

NIE RADZĘ!...

„Melona“. Droga Pani! I dzisiaj mogę Pani powiedzieć to samo, co już raz powiedziałem, mianowicie, że wierszyki Pani są coraz lepsze. Czytam je z przyjemnością, a jeszcze z większą przyjemnością oddaję je do druku!

Tylko... nie radzę Pani pielęgnować w sobie tego tkliwego smutku, o którym Pani pisze. Życie trzeba brać na trzeźwo, bo życie nie jest łatwym. Im więcej w nas będzie hartu, tym mniejszy będzie lęk przed losem, tym dzielniej pójdziemy naprzód. Wszak prawda?

Proszę przyjąć ode mnie tę małą wskazówkę życiową i pisać dalej do mnie.

TĘSKNOTA

Do zbielonych śniegiem wzgórz,
Pochylonych chat...
Tonem rozełkanych brzóz —
Rzewnie pędzi wiatr...
  Do potoku srebrnych fal,
  Do mych drogich stron...
  Wraz ze złym wichrem pędzi w dal
  Mej tęsknoty ton...
Tu też pola zbielił śnieg,
Wiatr przygrywa wciąż —
Lecz ja tęsknię do tych rzek,
Wśród odwiecznych brzóz...
  Gdy tęsknoty żalny dzwon
  Znów się zbudzi w nas —
  Tak bym chciała do tych stron,
  Pomknąć z wichrem wraz!...

Waleska Kreftówna.

TO NIE LEŻY W MOIM PROGRAMIE...

„Biała Uajali“. Owszem, możemy Pani przesłać wymienione podręczniki, ale lepiej nabyć je wprost z księgarni św. Wojciecha, a prześlą Pani te książki odwrotną pocztą.

W sprawie apelu proszę zwrócić się do P. Zofii, gdyż w moim programie nie leży zamieszczanie podobnych odezw. To zresztą zdążyła już Pani zauważyć, prawda?

Wierszyki — zamieszczę, nowelki — nie! Posiadam obecnie za dużo nagromadzonego materiału nowelowego.

Łączę mocny, przyjacielski uścisk dłoni!

NAJDROŻSZA — KOCHANA!...

Drogiemu „Przedwiośniu“
na dzień 6 marca —
dedykuję....

Kiedy świat cały skończy swe modły wieczorne,
A noc gwiazdami rozzłoci już ziemię,
Na smudze srebrnych księżyca promieni
Tobie, Najdroższa, śle znów pozdrowienie!...

Szepczę Ci słowa pełne boskiej ciszy...
Pełne upojeń — nadziei — tęsknoty —
I wierzę z Tobą, że kiedyś powróci,
Dzień cudnej wiosny — znów od szczęścia złoty.

Mówię Ci wszystko: za czym tęskni dusza,
Jakim pragnieniem serce me kołacze,
Co mnie raduje i co mnie zasmuca —
Za czym tak często w cichym żalu płaczę...

— Przymykam oczy i... czuję Twe dłonie,
Jak mą zimną skroń do swej piersi tulą —
Ty wiesz, Najdroższa, żeś mi bardzo bliską —
Żeś: przyjaciółką — siostrą i... matulą! —

Dziś więc, by dać Ci dowód mej wdzięczności,
By Ci powiedzieć, jak kocham Cię, Droga —
Z tą cichą gwiezdną i srebrzystą nocą
Za Twoje szczęście — modlę się do Boga!...

„Biała Uajali“.

CZYŻ TRZEBA?...

„Przedwiośnie“. A jednak umie Pani pisać piękne listy i wypowiadać w nich to, co myśli i czuje!... Czyż trzeba być aż tak skromną, aby odbierać sobie najistotniejsze przymioty? Myślę, że nie!

Żałuję, że nie rozporządzam dzisiaj większą ilością miejsca, gdyż nie omieszkałbym podyskutować trochę z Panią na temat ostatniego listu, a zwłaszcza tego „rozumnego podchodzenia do życia“. Może uda się następnym razem!

Wierszyk, jak również dopisek, zamieszczam. Wyobrażam sobie miłe zdziwienie „Białej Uajali“, tym więcej, że i ona przygotowała coś dla Pani.

„Szarej Dziewczynce“ i „Rewelersowi“ donoszę, iż korespondencji z Nimi, z pewnych względów nawiązać nie mogę. Pozdrawiam!

Tym wszystkim, którzy przesłali mi miłe słowa pozdrowień — dziękuję i gorąco odwzajemniam!“

TOBIE, „BIAŁA UAJALI“...

Myślę dziś o kimś, kto ma oczy smutne,
Jak skarga, albo jak miłość umarła bez echa,
O kimś, kto się tak rzadko, tak rzadko uśmiecha
I komu losy w szczęście nie były rozrzutne...

O kimś, kto spojrzeniem goni przeszłości mary senne
I chłonie w duszę melancholię mroku,
W czymś, w czym by można znaleźć choć trochę uroku —
Widzi tylko życia przesmutną gehennę...

„Przedwiośnie“.

ZAGUBIONE DROGI

Śniegi zawiały mi drogę,
A jestem bardzo daleko...
Przez lasy śnieżne, rozłogi —
Tęsknoty moje się wloką.
  Mrozy się srożą nade mną,
  Malując kwiaty srebrzyste,
  Zaspy śniegowe przede mną,
  Zawiały mi drogi wszystkie...
A twoje drogi, mój miły,
Zgubiły swój do mnie ślad,
Wiatry ze śniegiem zgasiły
Złocistej pochodni twej kwiat.
  Smucić się będziem daremnie,
  Wpatrzeni w daleki ten świat...
  Bo śnieg, padając niezmiennie —
  Zaciera nam dróg naszych ślad...

Z. Olechowska.

Raj kobiet



J 2059 Śliczny komplet spacerowy, składający się z dwuczęściowej sukienki (J 2058) w kolorze niebieskim i płaszczyka w granatowo-zieloną kratę.

J 2051/52 Miły komplet wiosenny z wełny w kolorze czarnym i zielonym, bardzo wyszczuplający.

J 2029 Młodociany komplet: spódniczka z lekko nakrapianej wełny i żakiecik brązowy, zapinany na guziki.

Kroje powyższe (Lyona) można nabyć w naszej administracji w cenie 1,90 zł za sztukę.

Potrzeba nam wynalazków z dziedziny gospodarstwa domowego

Są ludzie mający talent wynalazczy i chęć do borykania się z zagadnieniami technicznymi, ale wolą, aby im te zagadnienia ktoś inny wskazał. Są inni, którzy zdają sobie sprawę z tego, co by się kupującej publiczności przydało, ale zaspokojenie tych potrzeb wychodzi znowu poza ramy ich własnych zdolności. Aby więc spostrzeżenia i opinie jednych oddać do praktycznego zastosowania przez drugich, pokazały się i pokazują listy wynalazków potrzebnych i rzekomo potrzebnych. Czasem niestety listy te są takie naiwne, że trudno je brać na serio. Czasem spisy te powtarzają ślepo frazesy jakie brzmiały dobrze dwadzieścia, czy trzydzieści lat temu, ale wcale nie wyrażają potrzeb chwili. W rezultacie więc listy te niby potrzebnych wynalazków, narażają ludzi na niepotrzebne wydatki i stratę czasu. Pozwolę sobie więc tu podać oryginalny spis kilkunastu wynalazków, które by się rzeczywiście przydały.

Zaczniemy od takiej prostej rzeczy jak żelazko do prasowania. Elektryczne żelazko jest bardzo praktyczne, ale ma braki. Potrzeba mu koniecznie ulepszenia, aby prąd elektryczny sam się przerwał jeżeli materiał prasowany zaczyna się przepalać. Czasem gosposia odejdzie od żelazka tylko na chwilę, zapomni, zagada się, a gdy wróci, jest już za późno; suknia czy koszula zrujnowana a nawet wybuchnąć może pożar.

Weźmy inną rzecz. Przydałby się ogromnie kurek bezpieczeństwa do pieców gazowych, kurek taki, aby nie można go było otworzyć przypadkowo, a taki także, aby nie mogły go łatwo otworzyć dzieci. Kiedy mówię o kurkach, nadmienię inny projekt. Potrzebny jest dobry i praktyczny sposób na to, aby gaz zamykał się automatycznie, kiedy płomień zostanie zdmuchnięty lub zgaszony przez płyn, jaki czasem wykipi z naczynia. Próby już były, ale, o ile wiem, nie ma w zastosowaniu rzeczy dobrej i bezpiecznej.

Kobiety kupowałyby chętnie maszynki do czyszczenia zabrudzonych dywanów.

Pieniądze zrobi, kto wynajdzie praktyczny sposób, aby zapobiec niszczeniu pończoszek damskich przez spuszczenie jednego lub kilku oczek. I tu także wynalazcy poczynili pewne kroki, ale do tego czasu w użytku powszechnym pończoch wynalazku takiego nie ma.

Dla gospodarstwa domowego przydałyby się bardzo takie korki, możeby można było zdjąć łatwo bez pomocy otwieraczy. Mówię tu o korkach metalowych, a raczej czapkach metalowych. Chodzi o takie korki jak np. do flaszek z piwem, które by można otworzyć łatwo palcami. To samo można by powiedzieć o słoikach i metalowych nakryciach.

Dla mężczyzn przydałaby się brzytwa lekka, a tak urządzona, aby można było ostrze pociągnąć bez rozbierania brzytwy. Taką kombinację brzytwy i przyrządu do ostrzenia ostrza będzie można obmyślić, ale trzeba trochę zdolności i cierpliwości.

Do kuchni znowu bardzo potrzebnym jest tani przyrząd, który by mierzył, krótkie okresy czasu, jak naprzykład, dwie minuty, 3 lub 5 minut. Taki instrument musiałby zadzwonić po upływie danego czasu. Są wprawdzie zegary, lub instrumenty z przyrządem zegarowym, ale są to rzeczy za drogie. Chodzi o połączenie może zwykłej klepsydry piaskowej z dzwonkiem. Projekt nie wygląda na trudny do zrealizowania. Oczywiście konstrukcja musiałaby być tak pojedyńczą, aby cały przyrząd można było sprzedać za jakie 25 groszy.

Automobiliści daliby dużo za opony do kół, które by były bezpieczne nawet przy pęknięciu. Jedna z amerykańskich firm gumowych już coś w tym kierunku zrobiła, wytwarzając opony z podwójnym wężem, ale to jeszcze nie jest najlepsze. Solidne opony są oczywiście wykluczone. Sprężyn też zamiast powietrza, jakimi opony są wydęte, nikt nie chce. Kto taką rzecz wynajdzie, zrobi fortunę.

Nikt jeszcze nie wynalazł taniej maszyny do mycia naczyń, to znaczy maszyny do użytku domowego. Nie wiem dlaczego np. nie można by zbudować aparatu takiego, jak maszyna do prania, gdzie by się naczynie włożyło do kosza, a potem zaczęło tym wszystkim wirować w gorącej wodzie. Są trudności? Zapewne! Wynalazca je usunie.

Zdałoby się czernidło do trzewików, któreby zatrzymało połysk i świeżość przez szereg dni, bez względu na pogodę i wilgoć.

Oto kilkanaście projektów. Podam ich więcej w przyszłości. Ostrzegam jednak wynalazców, aby nie tracili czasu na wynalazki, odnoszące się do rzeczy wczorajszych, do ery, która się kończy. I tak nie opłaca się wcale ulepszać lamp naftowych. Prawda, lamp takich jeszcze się używa, ale one są już na wymarciu. Stanowczo nie ma czasu zawracać sobie głowy flaszkami, których się nie da napełnić powtórnie. Trzydzieści lat temu było to dość modne. Dzisiaj to sprawa nudna. Wynalazcy muszą iść z prądem czasu i nie patrzeć na to, co zanika, ale na potrzeby dnia i na potrzeby jutra.

Czy wiecie że...

Cukier używa się do fabrykacji tytoniu, mydła i środków wybuchowych.

* * *

W Hollywood pajęczyny wyrabiają z cieniutkich nitek cukru.

* * *

Austriacki muzyk Heinrich Naste, grywa na fortepianie przy pomocy języka.

* * *

Muzyka klasyczna odegrana na fortepianie wymaga od grającego wyjątkowo szybkiego myślenia, sześćdziesięciu mianowicie umysłowych procesów na sekundę.

* * *

Najbogatszymi ludźmi świata są: spadkobiercy sekretarza skarbu Mellona, Ford, maharadża Haiderbadu, spadkobiercy Rockefellera, syn Forda, przemysłowiec W. G. Sinclair, rodzina Vanderbilt, Niemiec M. Flick, Thyssen i książę Westminster.

* * *

Z tony stali można zrobić 1.400.000 stalówek.

* * *

Do fabrykacji pianina używa się 48 surowców, pochodzących z 16 krajów.

* * *

Trzecia część ludności Alaski korzysta z komunikacji lotniczej. Ponieważ jest tam mało linii kolejowych i brak dróg, przestrzenie zaś do przebycia są ogromne, samolot stał się głównym środkiem komunikacji, dzięki któremu myśliwi, poszukiwacze złota, handlarze drzewa i misjonarze nie są już dziś odcięci od świata.

* * *

Największy egzemplarz Biblii w świecie posiada biblioteka watykańska. Jest to rękopis hebrajski, który waży 50 kilogramów.

* * *

Para rękawiczek, zanim ją nabywamy, przechodzi przez 200 rąk, od zwierzęcia (tu, co prawda wyraz „ręka" jest zbyt śmiałą przenośnią) do sprzedawcy.

* * *

Fakirzy hinduscy mogą sugerować publiczność, ale nie hipnotyzują wężów. Melodia wygrywana na piszczałce nie wywiera żadnego wpływu na gady, które tylko po prostu mimo woli naśladują ruchy kiwającego się fakira. Zresztą węże są zupełnie głuche.

* * *

Żaba, aby się nie udusić, musi mieć pyszczek zamknięty! Ma ona taki aparat oddechowy, że nie wolno jej zbytnio otwierać pyszczka, aby się nie udusić.

* * *

Bóbr spędza więcej niż połowę życia w wodzie, ale nigdy nie jada ryb. Uznaje tylko pokarmy roślinne.

* * *

Savoir vivre

Ukłon

Nie ma dwóch ludzi, którzy by się jednakowo kłaniali, ale niestety, więcej jest takich, którzy to czynią brzydko. Jednak nic łatwiejszego, jak stanąwszy przed lustrem studiować serię rozmaitych ukłonów, — zobaczy się wówczas, czego należy unikać.

Kobieta kłania się pochyleniem głowy. Nie powinno to być sztywne kiwnięcie, zupełnie pozbawione wdzięku i uprzejmości. Głowa przez sekundę pozostaje pochyloną i podnosi się wolno. Im głębsze pochylenie i dłuższe podnoszenie głowy, tym ukłon jest uprzejmiejszy. Ani ramiona, ani łopatki nie biorą w nim udziału, pracuje tylko głowa i szyja.

Pragnąc pozdrowić osobę mało znajomą i okazać jej szacunek, dama schyla głowę nisko, zachowując zupełny spokój na twarzy. Uśmiech przy tym ukłonie jest dowodem bliższej znajomości. Kilkakrotne kiwanie głową, mruganie oczami i robienie min świadczy o niezbyt wykwintnym wychowaniu damy.

Ukłon mężczyzny polega na uchyleniu kapelusza, zdjęciu kapelusza i pochyleniu głowy, wreszcie, o ile głowa jest nie pokryta, na pochyleniu głowy i górnej części korpusu. Przy ukłonie przeznaczonym dla osób obojętnych lub mało znanych wystarcza samo uchylenie kapelusza. Przed bliższymi znajomymi, tym bardziej kobietami, zdejmuje się kapelusz, schylając jednocześnie głowę. Im głębsze pochylenie i niższe opuszczenie ręki z kapeluszem, tym ukłon jest uprzejmiejszy. Nie należy zamiatać kapeluszem chodnika, unosić go zbyt daleko do góry, ani odstawić w bok ręki z kapeluszem, wszelka przesada przeczy bowiem zasadom dobrego wychowania i taktu. Miękki kapelusz ujmuje się za wierzch melonik i cylinder za rondo.

Dużą sztuką jest zgrabne kłanianie się z niepokrytą głową, a więc w lecie, gdy się trzyma kapelusz w ręce, lub nie ma go się przy sobie lub też gdy się jest w zamkniętych lokalach. Składając wówczas ukłon kobietom lub poważniejszym panom, mężczyzna wstaje z krzesła i pochyla korpus, nie zginając nóg. Młodszym panom kłania się mniej nisko, albo kłania się wyłącznie głową. Przy ukłonie w ruchu, a więc na ulicy, nie należy się zbytnio pochylać.

Choćby byli obrażeni na kogoś ze znajomych i nie chcieli z nim podtrzymywać stosunków, należy mu się ukłonić lub odkłonić. Oczywiście w tym wypadku czynimy to sztywniej. Ale zupełne zaniechanie ukłonu może nastąpić dopiero po kompletnym zerwaniu stosunków. W ostateczności, chcąc uniknąć przykrego dla nas zamieniania ukłonów z tą osobą, możemy udać przy spotkaniu, że jej nie widzimy. Po przykrotnym takim ominięciu sposobności powitania osoba owa winna się zorientować i znajomość z tym osobnikiem uważać za nieistniejącą.

Zasadą jest, że młodszy kłania się starszemu, mężczyzna kobiecie, podwładny szefowi itp. Jednak pomiędzy ludźmi dobrze wychowanymi nie zachodzi potrzeba zachowania tych prawideł pierwszeństwa, dwie bowiem mijające się osoby kłaniają się sobie jednocześnie.

Jeśli kilku mężczyzn idzie razem, a jeden kłania się znajomej, czy znajomemu, wszyscy inni są również zobowiązani uchylić kapelusza. Tak samo mężczyzna odpowiada na ukłon złożony jego towarzyszce.

Ukłonem można bardzo wiele wyrazić. Często słyszy się: „Tak mi się sztywno ukłonił". Otóż zasadniczo należy, odpowiadając na ukłon, wyrażać nim to samo, co chciał wyrazić kłaniający się. Przede wszystkim trudno to jednak skontrolować, można zupełnie opacznie wytłumaczyć sobie intencję spotkanego. Dalej, o ile przyjmiemy zasadę, że znajome osoby kłaniają się sobie „równocześnie,, to nie będzie czasu na uprzednie zbadanie, co chciano w stosunku do nas wyrazić. Toteż, jeśli uczynimy spostrzeżenie, że nam się ktoś ukłonił niegrzecznie, możemy być sztywniejsi, ale nie należy mu również odpowiadać niegrzecznością, lepiej dowieść, że jest się dobrze wychowanym.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

JAN FELIKS PŁÓCIENNIK

Kontrast

(NOWELA)

(Dokończenie.)

Nikogo nie ma. Jestem sam. Tylko jasne promyki słońca ślizgają się po moich dłoniach, meblach i ścianach pokoju. Promienie te mają tyle niewysłowionego uroku, są takie piękne! Może tym cudniejsze, że przypominają mi Twoje włosy, które nieraz w zachwycie musnąłem wargami, gdy byliśmy razem i gdy nic jeszcze nie mąciło naszego szczęścia.

Ostatnio jednak jakaś zapora stanęła między nami, choć nie wiem, jak ją nazwać.

Raz żyjemy i raz przeżywamy piękne chwile, które nie wrócą nigdy za żadne skarby — tak, jak nikt nie będzie zdolen wyrwać nas od śmierci, która jest nam przeznaczona.

Wiem, że w życiu nie pokocham już nikogo więcej... że będę cierpiał i kochał Cię skrycie... a jeśli zwiążę mnie los z jakąś kobietą... to chyba tylko dlatego... że zrozumie mnie i będzie mi przyjaciółką...

Może Ty nawet już nigdy nie wspomnisz o mnie... —

Dobrze zresztą zrobisz, gdyż czuję, że za bardzo Cię kocham, aby żyć myślą, że Ty może również mnie kochasz, że cierpisz, jak ja cierpię. To byłoby tym bardziej straszne i bolesne dla mnie.

Nie wiem, czy mnie kto w życiu doczesnym zrozumie, i ta myśl jest tak przykra i bolesna zarazem!...

Jest już dwunasta godzina. Tyle czasu piszę ten list, który Ty w parę minut przeczytasz. Promienie słońca już opuściły mój pokój. Zniknęły — tak, jak zniknęło moje chwilowe szczęście.

Zegar monotonnie tyka, jak konik polny w trawie, licząc dla mnie nową erę.

Jak długie i czarne są chwile oczekiwania i jak ciężko żyć w niepewności — zrozumie tylko ten, kto kochał tak bardzo, tak potężnie, jak ja kocham Ciebie.

Wszystko straciłem, co stracić mogłem najdroższego w życiu.

Ale nikt mi nie wyrwie z duszy mojej tych pięknych chwil, tych wspomnień, które są dla mnie tak miłe i drogie!

Miałaś wczoraj ze mną się spotkać. Nie przyszłaś. Nie chcę Cię pytać o powód, ani też robić Ci śmiesznych wymówek — o — nie! Daleki jestem od tego...

Przypomniały mi się w tej chwili słowa ludzi „płytkich", którzy ośmielili się twierdzić, że „mnie zmieni i nie będę tak pewny siebie i tak zwycięski..."

Lecz mimo, że cierpię i znoszę katusze, nikt po mnie tego nie pozna.

Zagryzę wargi do krwi, by nie parsknąć śmiechem w twarz „temu pawowi", który by się uważał za mojego rywala. A jeśli uśmiech pojawi się na mych wargach...

Mirski chciał jeszcze wiele ciążących mu na sercu słów wylać na papier, lecz ostre pukanie do jego drzwi, zmusiło go do odłożenia pióra...

Wciągnął pospiesznie spodnie, ubrał bonżurkę i podszedł do drzwi.

— Kto tam — —?

— Listonosz!...

— Proszę...

— List do pana.

— Dziękuję.

Zatrzasnęły się drzwi.

Witold nerwowym ruchem rozdarł kopertę, poznając pismo Aleksandry.

Nie omylił się. List był rzeczywiście od panny Kobrzyńskiej, która pisała:

Drogi Przyjacielu!

Zdziwi Cię zapewne tytuł, ale uważałam go w chwili pisania listu za najodpowiedniejszy.

Wybacz, że wczoraj nie byłam... Wiem, że to nieładnie z mej strony, lecz usprawiedliwiam się sama przed sobą i mam nadzieję, że Ty mi również przebaczysz. Bo chciałabym mieć w Tobie przyjaciela, serdecznego druha.

Nie chcę Cię okłamywać, dlatego wolę Ci wyznać szczerą prawdę, która na pewno będzie mniej bolesna — niż byłaby nią obłuda, której się brzydzę.

Widzisz, nie wiem, jak to się stało, że z miłości mojej zrodziła się przyjaźń, choć drżę, czy ją ode mnie przyjmiesz?

Wiesz mi, że nieprzyjęcie jej dotknęłoby mnie ogromnie boleśnie!!!

Nie wiem, jak to nazwać i jak ująć w słowa, ale od czasu, kiedy zwierzyłeś mi się ze swych trosk i radości, kiedy poznałam Twoje prawdziwe oblicze, któremu na imię Smutek, oziębła we mnie gorejąca jeszcze przed chwilą miłość...

Przyszłam do przekonania, że nie kocham tego smutnego Witka, lecz tego wesołego chłopca, którym zawsze byłeś, a raczej — starałeś się być, co Ci się — muszę przyznać — znakomicie udawało. Kochałam kontrast, który był kłamliwym.

Gdybyś może zaraz pokazał mi swoje smutne oblicze, może pokochałabym je w dwójnasób, lecz obecnie, wierz mi, nie mogę.

Bądź mężny, Witku, i przyjmij moją dłoń w uścisku przyjaźni.

Ala.

Usta mężczyzny wykrzywił cierpki w swej goryczy grymas, a palce zacisnęły się kurczowo wokoło trzymanego listu. Po chwili zniknął w czeluści pieca jego własny, niedokończony list.

Mirski był zły na cały świat. Najchętniej porąbałby wszystko, co się w koło niego znajdowało. Nie wiedział, czy z żalu nad stratą ukochanej kobiety. Całą wartość, której dopiero teraz sobie należycie uświadomił, czy też może dlatego, że ona wyprzedziła go przesłaniem listu? — Może lżej byłoby mu na duszy, gdyby pierwszy to zrobił.

Witold długo trwał w duchowej rozterce, ważąc i porównując swą pierwszą miłość z obecną, również nieszczęśliwie zakończoną.

Minęło wiele nocy — ciemnych w swej głębi — jak oczy Aleksandry, wiele dni jasnych — jak jej włosy i bajkowych wieczorów, przypominających Mirskiemu pierwsze spotkanie z ukochaną...

Witold nie przyjął ofiarowanej przyjaźni. Zamknął się w sobie. Rana serca — goiła się tak wolno, jak wolno zrodziła się w jego życiu „druga" miłość...

Dla innych, jednak Witold pozostał ten sam. Żył dalej kłamaną radością.

Niekiedy tylko, siedząc w zadumie, tonął we wspomnieniach, oczekując chwili, kiedy spotka kobietę — przyjaciela, która zrozumie... jego niezrozumiałe dla innych — zapatrywania.

Jan Feliks Płóciennik.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●



Miss Chery Walker, wybrana królową róż w Pasadena (Kalifornia — St. Zjedn.), sprawowała swą władzę w dniu Nowego Roku podczas słynnego turnieju róż. Cyfry 1938, widoczne nad głową królowej, utworzone zostały z czarnych róż.

— Nam? — spytał towarzysz — dlaczego w liczbie mnogiej? Ja złapałem, ja będę jadł. Ani kosteczki z tego nie dostaniesz.

Tulliwer wybuchł głośnym, spazmatycznym śmiechem.

— To więc jest twoja przyjaźń! — zawołał gorzko. — Gdybym tylko chciał, wyrwałbym ci zaraz twoją zdobycz, bo jestem silniejszy od siebie, głupcze! Nie zależy mi jednak na takim nędznym szczurze; schowaj go sobie, a ja tuzin takich nałapię, jak zechcę.

Waker ugryzł łapczywie szczura, ale w tej samej chwili odrzucił go z obrzydzeniem i wstrętem. Było niemożliwym połknąć surowe i niesolone mięso.

Siadł znowu na swoją beczkę z łojem i zapadł w bezmyślną zadumę.

Tak upływała godzina za godziną. Wreszcie sięgnął Waker po swój ostatni kawał chleba i rzekł do swego towarzysza.

— Jutro rano będę tak długo bił belką o drzwi, dopóki ktoś z załogi nie usłyszy i nie otworzy.

— Słusznie! — odpowiedział Tulliwer. — Jak nas tu znajdą, to nam przynajmniej dadzą jeść i pić. Gdybym tak mógł wypić szklankę piwa!

— Nie mów o tym, bo sama myśl o jakimś zimnym trunku o szaleństwo mnie przyprawia — zawołał drugi — wody! wody, bo umieram!

— Ten łajdak, ten majtek chce nas zamorzyć głodem, aby wszystkie pieniądze sam mógł zagarnąć — wrzasnął Tulliwer — ale mu popsuję szyki! Niech się kapitan o wszystkim dowie i niech ukarze tego nędznego szachraja!

— Zdławię go własną ręką, skoro go tylko zobaczę! — zawołał Waker wściekły.

Byli obaj tak poirytowani, że nie zauważyli wcale uchylających się drzwi i wsuwającą się ciemną postać. Dopiero gdy usłyszeli znajomy głos majtka, który im schronienie tu umożliwił, zerwali się przestraszeni.

— No, żyjecie jeszcze! — zawołał żeglarz widocznie zadowolony.

— Wody, wody! — jęknęli obaj złoczyńcy równocześnie.

— Przypuszczałem, że będziecie spragnieni — rzekł majtek, podając im dużą blaszaną konewkę — a oto jeszcze chleb i mięso.

Ugasiwszy pragnienie ukąsił Waker łapczywie chleb i zawołał z pełną gębą:

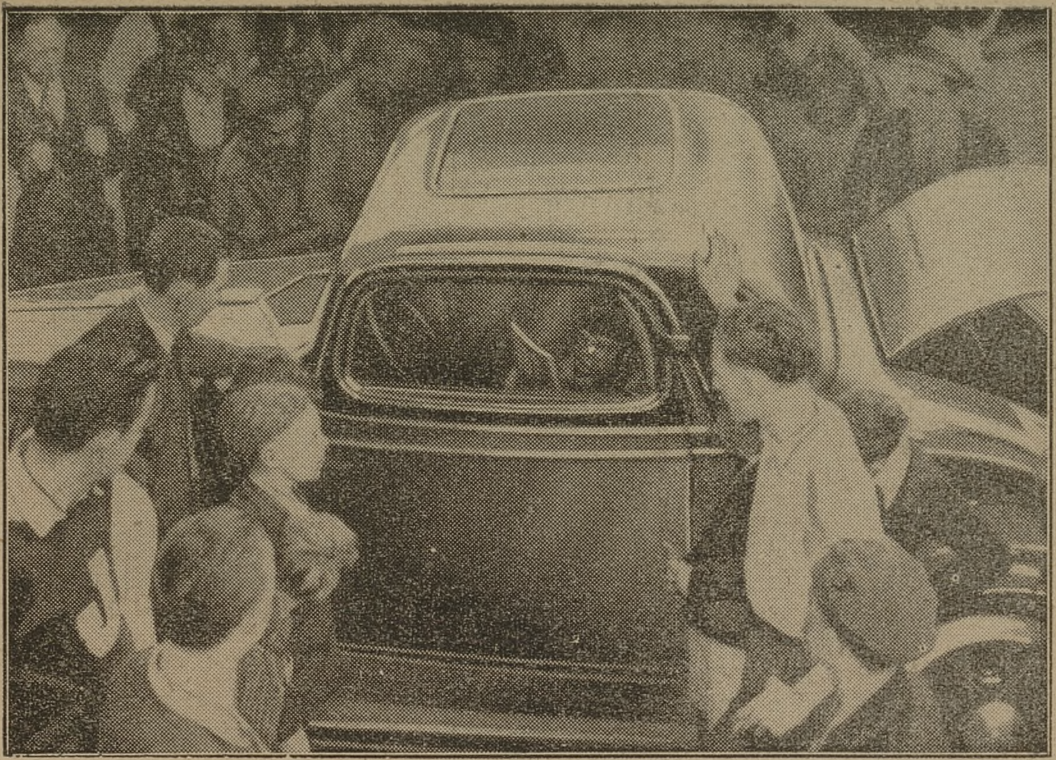
— Czegoś u licha pierwej nie przyszedł?

— Dobrze wam mówić! — obraził się majtek — myślicie, że to tak łatwo dostać klucze do przedziału towarowego! Musiałem zresztą czekać, dopóki kolej straży nie przyjdzie na Friedera. Upiłem go tak, że nic nie widzi i nie słyszy. Dajcie mi prędko paczkę tytoniu dla kucharza, bo mi tylko pod tym warunkiem dał prowiant dla was, że mu najmniej funt tytoniu za to wręczę. Jak nie dotrzymam słowa, to mi nigdy nic więcej dla was nie da! Prędko, prędko, bo mi spieszno!

Waker podał majtkowi sporą paczkę tytoniu.

— Kiedy znów przyjdziesz? — spytał go ochrypłym głosem.

— Pojutrze — rzekł majtek — bo wtedy ja sam jestem na straży — miejcie tylko cierpliwość, a ja zrobię wszystko, co tylko będę mógł, aby wam dostarczyć poddostatkiem żywności i wody.



Oryginalny „strajk okupacyjny" urządził dziesięcioletni chłopiec w Jacksonwille (U. S. A.) zamykając się w samochodzie i tarasując ruch na najruchliwszej ulicy miasta. Miał to być protest przeciwko nakazanemu mu przez matkę obcięciu włosów.

Chcieli mu jeszcze dać jakieś zlecenie, ale nim się obejrzeli, drzwi były już zamknięte, a majtek przekręcał z zewnątrz klucz w zamku.

— Bogu dzięki — westchnął Waker z ulgą — myślałem już, żeśmy straceni — jaką okropną męką jest pragnienie; dolega ono dużo więcej niż głód!

— Ten majtek przecież nie taki zły, jakeśmy myśleli — rzekł Tulliwer zadowolony — z tym ,co nam przyniósł, będzie można dobrze dwa dni wytrzymać. Co to za rozkosz móc się znów nasycić!

Obaj zbiegowie rozweselili się i gawędzili wesoło i swobodnie. Wreszcie usnęli smacznie. Nazajutrz zbudziwszy się, zaczęli sobie zaraz wzajemnie opowiadać swoje sztuczki, które z ogromną chytrością wykonywali.

Śmiali się do rozpuku i tak im zeszły wesoło dwa dni.

Dopiero ku wieczorowi, gdy nadszedł czas, w którym im majtek obiecał przynieść świeży transport jadła i napoju, a nie zjawiał się, ogarnęła ich znów trwoga.

— Czy on dotrzyma przyrzeczenia? — zapytał Waker, drżąc z irytacji — polegając na nim, zjedliśmy zapasy nasze do ostatniej okruszyny; co teraz poczniemy, jak on nie przyjdzie?

— Nie wiemy przecież, kiedy on będzie na straży — pocieszał go Tulliwer — może na niego kolej później przychodzi. Na Boga, gdybyśmy do jutra mieli pozostać w tej niepewności, to ja bym tego nie przeżył! Zwariowałbym z niepokoju i strachu!

Zirytowany przechadzał się tam i napowrót po stęchłej sali, klnąc na czym świat stoi, i modląc się na przemian.

Waker natomiast siedział nieruchomy, jakby skamieniały na swojej beczce.

Nagle zawołał podniesionym głosem:

— Boże, w niebiosach, wysłuchaj modlitwy mojej! Wyratuj mnie z tego strasznego położenia, a ja w zamian będę się starał wieść odtąd poczciwy, bogobojny żywot!

Niebo, które nigdy nie odtrąca skruszonego grzesznika, zdawało się wysłuchać prośby Wakera, bo ledwo skończył, usłyszał skrzypienie drzwi i głos majtka:

— Macie tu coś ciepłego! Przynoszę wam miskę wędzonki i grochu ,bo kucharz, którego wtajemniczyłem, osądził, że musicie dostać trochę ciepłej strawy. Dał mi też dla was baryłkę wody, fraszkę rumu i tyle chleba i mięsa, aby wam na cały tydzień wystarczyło. Podajcie mi ten próżny ceber, ale napełnijcie go przedtem tytoniem, bo trzeba wam wiedzieć, że żeglarze przepadają za tytoniem i najłatwiej ich tym przekupić.

Tulliwer i Waker skrzętnie napełnili ceber i podając go majtkowi, zapytali:

— Kiedy znów nas odwiedzisz?

— Niewiadomo — rzekł zapytany, skrobiąc się w ucho — nie mogę tego tak dokładnie z góry obliczyć, ale skoro tylko sposobność się nadarzy, przybiegnę do was. Nie niecierpliwcie się! Muszę uciekać, bo jakby mnie tu kto zobaczył, to byłoby po mnie, a i wy przepadli byście z kretesem!

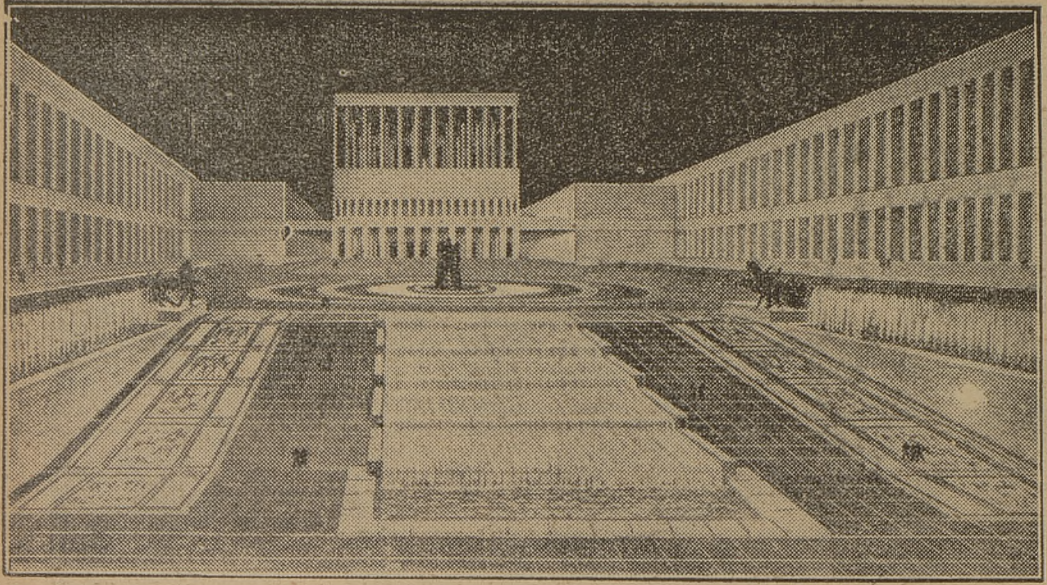
— Jak długo jeszcze będziemy w podróży? — spytał Tulliwer przestraszony.

— Przy dobrej pogodzie 3 tygodnie, a jak będzie wiatr, to jeszcze dłużej — odpowiedział majtek, i zamknąwszy prędko drzwi, stanął znów na swoim posterunku.

Obaj zbiegowie zaś rzucili się chciwie na misę ciepłej strawy, przysłanej im przez litościwego kucharza. Nigdy największe delikatesy za dni szczęśliwych, tak im nie smakowały, jak ta prosta strawa.

Następny tydzień upłynął naszym podróżnym monotonnie i nudnie. Nie chodziło im o pracę ,bo tę nienawidzili; ale brak im było odmiany, było im też okropnie ciasno i ciemno.

Każdego wieczora wycinał Tulliwer znak na beczce; naliczył już 17 karbów, a jeszcze znajdowali się na pełnym morzu. Zaczęli się już niecierpliwić.



W r. 1941 odbędzie się w Rzymie wystawa światowa. Na zdjęciu model „Piazza Imperiale", który będzie punktem centralnym wystawy.

Majtek okazywał im przez cały czas przyjacielskie poświęcenie.

Wielu innych na jego miejscu, byłoby obu uciekinierów zostawiło ich własnemu losowi, jeśli już nie ze zbrodniczej chęci zysku, to z obawy o swoją egzystencję.

Prostemu majtkowi jednak nie przyszło nawet na myśl, czyhać na zysk okupiony życiem tych biedaków. Liczył on z tęsknotą dni podróży, które go jeszcze dzieliły od Ameryki i przedstawiał sobie z jaką radością jego urocza narzeczona przywita go i jak chętnym jej surowy ojciec się okaże, gdy się dowie o jego majątku.

Serce jego uderzyło przyspieszonym tętnem wśród pięknych tych marzeń!

Musiał on koniecznie wtajemniczyć kucharza w sprawę tych swoich protegowanych, bo inaczej nie byłby ich mógł zaopatrywać w prowiant; był jednak o tyle ostrożnym, że nie wspomniał mu wcale o skarbie, który obaj zbiegli więźniowie posiadali.

Przedstawił pomoc swą w uratowaniu ich, jako czysto chrześcijański czyn miłości bliźniego, a że rzeczywiście uchodził za niezwykle dobrego człowieka, więc kucharz uwierzył mu na słowo i zupełnie zadowolony był tytoniem, którego mu majtek dostarczał w nagrodę.

Nie będziemy czytelnika nużyć obszernym opowiadaniem dalszych przejść w podróży naszych zbiegów, gdyż to samo ciągle się powtarzało.

Raz mieli zbytek, drugi raz brak. Gdy majtek im świeży zapas żywności przynosił, objadali się zwykle tak, że aż potem chorowali. Potem znów mieli chwilowy brak, gdy się zasoby ich wyczerpały i nim nowe przyszły. Lecz bardziej jeszcze od tego szkodziło im złe powietrze, brak ruchu i ciągła obawa odkrycia, która trapiła tak Tulliwera jak i Wakera.

Gdy się wreszcie okręt zbliżył do lądu, wyglądali oni obaj tak nędznie i tak byli schorzali, że nawet Inez i Fidez byłyby ich nie poznały.

Przedstawiali widok godny litości, pominąwszy już nawet wyszarzałe i podarte ubrania.

Oczy ich były wpadnięte i podkreślone ciemnymi sińcami, włosy i brody zupełnie w nieładzie, a cera szarożółta, zwiędła.

Co by Inez i Fidez na ten widok swych ex-mężów powiedziały?

Byłyby ich z pewnością miały za dwóch włóczęgów-żebraków i dałyby im jałmużnę!

Wreszcie dobił okręt do brzegu.

Chodziło teraz majtkowi o to, aby przyjaciół swych wytransportować przed wyładowaniem towarów.

Czekał więc z bijącym sercem, póki się nie ściemniło, potem otworzył cicho drzwi przedziału towarowego i szepnął do Tulliwera i Wakera:

— Chodźcie prędko na górę, powietrze czyste!

Obaj zbrodniarze wyszli szybko ,a majtek zamknął za nim czym prędzej skład towarów.

— Chodźcie, chodźcie! — naglił ich — kabina kucharza jest próżna. Możecie się tam przebrać. Przygotowałem wam tam dwa swoje ubrania. Kucharz pożyczy wam nożyce i nóż do golenia, abyście się trochę oporządzili, bo tak jak teraz wyglądacie, to do żadnej oberży by was nie przyjęto i wzbudzilibyście wszędzie podejrzenie.

To mówiąc, zaprowadził ich do dziury, którą kucharz nazywał z dumą kabiną. Tam obmyli się obaj galernicy ciepłą wodą, ogolili, ścięli włosy i włożyli marynarskie ubranie.

— Wasze łachy zwiążę i wrzucę do wody — rzekł majtek.

Lecz tak Tulliwer jak i Waker sięgnęli żywo po swoje ubrania; każdy z nich miał bowiem zaszczyt złotówki.

— Zostaw! — rzekli do majtka, a Tulliwer zaczął mu tłumaczyć:

— Zrobimy z tego zawiniątko, aby nie przyjść z gołymi rękami do oberży. To wzbudza podejrzenie!

— Jak chcecie — rzekł majtek obojętnie — spieszcie się jednak, bo jak was tu ktoś prócz kucharza zobaczy, to jestem stracony.

Zaprowadził ich na pokład.

Stamtąd spuścił ostrożnie małą łódkę i wsiadszy do niej ze swoimi dwoma pasażerami, złapał za wiosło i zaczął wiosłować.

Po drodze rzekł do nich:

— Zajedźcie do hotelu Biedermana, przy ulicy Hamilton 128. Skoro tylko będę mógł, stawię się tam i przyniosę ze sobą baryłkę z łojem. Podzielimy się!

— Ale czy naprawdę przyjdziesz? — spytał Tulliwer zatrwożony.

Był tak pełen nieufności, że najlepszego przyjaciela podejrzewał.

— Słuchajno ty — odpowiedział majtek, patrząc na niego dużymi oczyma. — Ty musisz być ostatnim łotrem i oszustem, skoro tak innym nie dowierzasz. Sądzisz pewnie według siebie! No, teraz jesteśmy u brzegu. Wysiadajcie, a pamiętajcie adres: Hamiltonstreet 128, zajazd Biedermana. — Prędko, bo i mnie spieszno.

Tulliwer i Waker wyskoczyli na ląd, mrucząc pod nosem podziękę.

Majtek wrócił czymprędzej do swego okrętu i zdążył dostać się na pokład, nim go ktoś z załogi zobaczył.

Nazajutrz rano miano rozpocząć wyładowanie towaru. Otworzono drzwi tego przedziału i kilku majtków tam weszło.

— Holla, co to takiego? — zawołał jeden z nich — tu stoi próżna konewka z wody, tam znów leży flaszka z rumu! Musiał tu być jakiś ptaszek schowany, szukajmy za nim czemprędzej!

Zaczęli zaglądać po kątach, ale nie znaleźli nikogo.

— Pospieszył on się! — zaśmiał się jeden z nich — ale niech tam ucieka spokojnie, my przecież nie jesteśmy policjantami ani żandarmami!

— Słuszność macie! — chwalił ich kucharz, który przybiegł ciekawy — co to nas obchodzi? Niech sobie spokojnie ucieka! Ja ze swej strony życzę mu, kimkolwiek on jest, wiele szczęścia na drogę!

ROZDZIAŁ CCLXXV.

Uroczysty dzień pani Grammel

W szynku „Pod wesołym towarzyszem" siedział Maks samotnie przy szklance piwa i patrzał zamyślony przed siebie.

Garbaty Henryk wylazł z za pieca i starał się nawiązać z nim konwersację, ale został szorstko ofuknięty.

Po kilku chwilach otworzyły się drzwi i wszedł baron, jaśniejący wykwintną elegancją. Przywitawszy obecnych lekkim skinieniem głowy, zapytał spiesznie:

— Gdzie jest Józef?

— Czy ja wiem, gdzie on jest? — mruknął Maks niezadowolony — jak długo ma centa przy duszy, to nigdy się nie pokaże, dopiero jak wszystko przeputa, to się znów zgłasza do swoich przyjaciół.

Baron usiadł przy brudnym stole, obok Maksa i kazał sobie podać grogu.

Gdy gospodarz knajpy wszedł ,aby obsłużyć gościa, zapytał baron szeptem:

— Jak długo ten osioł, Józef, będzie jeszcze miał swoje pieniądze?

— Dziwię się ogromnie, że ten idiota jeszcze nie gotów ze swoimi kilku guldenami — była odpowiedź Maksa.

— Sądzisz więc, że on wkrótce będzie w potrzebie i nie będzie się wahał pomóc naszej sprawie? — zapytał baron.

— Jestem tego całkiem pewny — potwierdził Maks.

— Więc poczynię przygotowania — rzekł baron — rozumie się, że ja dostanę dwie trzecie z interesu, a resztą wy się podzielicie.

— Dobrze — mruknął Maks — ale co to właściwie za interes?

— Tego teraz jeszcze powiedzieć nie mogę — zaśmiał się baron.

Wtem przyniósł Henryk żądany grog i stanął ciekawie przy stole. Ale żaden z obu towarzyszy na niego nie zważał, a baron wypiwszy swoją szklankę wstał i odszedł, mówiąc na pożegnanie:

— Przyjdę jutro o tej samej porze, zobaczyć jak stoją nasze sprawy.

Na ulicy obejrzał się, czy go nikt z przechodniów nie widzi wychodzącego z tego podejrzanego lokalu i szybkim krokiem zdążał w stronę bardziej eleganckiej dzielnicy miasta.

Zatrzymał się przy jednej z ulic i zaczął się po niej przechadzać, mając ciągle na oku bramę jednego z domów.

Po krótkim czasie wyszła z tej bramy znana nam dobrze postać pani Grammel.

Miała pod pachą źle zawiniętą flaszkę, której zielona szyjka wyglądała z pod papierowego zawiniątka.

Spiesznym krokiem zdążała widocznie do jakiejś rafinerii, ale nim tam doszła, zaszedł jej drogę baron i zapytał, zdejmując kapelusz:

— Czy mam przyjemność mówić z panią Grammel?

— Jestem nią — odparła opiekunka Grety z głębokim dygiem, okazując przy tym wykręcone i podarte obuwie, ale nie mam zaszczytu znać pana.

— Baron Keller — przedstawił on się z niedbale dystyngowaną miną — wiem, że mnie pani nie zna, a ja panią także tylko znam z opowiadania. Przyjaciel mój, hrabia Brisen, polecił mi panią bardzo gorąco.

— Doprawdy? — ucieszyła się Grammlowa — nie byłabym się nawet tego po nim spodziewała.

— O, on znał się na zaletach pani — odpowiedział baron. — Szukam osoby, któraby mi mogła prowadzić gospodarstwo i przed którą mógłbym się ze wszystkim zwierzyć. Słysząc to Brisen, polecił mi panią, mówiąc, że byłoby to szczęściem dla mnie, gdybym panią mógł dostać.

— Pan hrabia zanadto łaskaw — odparła Grammlowa pochlebiona — i nie przypuszczałabym nawet, że tak o mnie myśli. Ale coprawda, to pan hrabia Brisen ma słuszność; bo co się tyczy poczucia obowiązku, pracowitości, oszczędności i skromności w wymaganiach, to daleko szukać takiej jak ja!

— Mogłabym przyjąć to miejsce u pana barona, bo właśnie zamierzałam odejść od Gretki, która z każdym dniem jest gorsza, a przy tym zaczyna być skąpą.

Zamilkła i popatrzyła na barona — samozwańca — wyczekująco.

— Chcę panią przyjąć jako gospodynię — zapewnił ją baron — ale trudno ułożyć to wszystko tak na ulicy, a tu w pobliżu jak na złość nie ma żadnej lepszej restauracji. Czy ma pani osobny pokoik dla siebie? Możebyśmy u pani tę sprawę dokładnie omówić mogli.

— O, będzie to dla mnie wielkim zaszczytem! — zapewniała go Grammlowa wśród dygów — proszę łaskawie za mną!

To rzekłszy, podreptała naprzód, ale mniemany baron zatrzymał ją, pytając:

— Czy tylko panny Grety Lessen nie ma teraz w mieszkaniu? Byłoby mi okropnie nieprzyjemnie z nią się teraz spotkać, kiedy jej odmawiam tak wyśmienitą opiekunkę i przyjaciółkę!

— Niech pan o to całkiem będzie spokojny! — zapewniała go Grammlowa. — Greta wyszła przed pół godziną na próbę i nie wróci przed 3 lub 4-roma godzinami. Obawia się teraz, aby zanadto nie utyła i chodzi zawsze pieszo tam i z powrotem, a to trwa długo. Proszę pana barona bliżej.

Poszła naprzód, a baron podążył za nią zadowolony.

Otworzywszy drzwi do przedpokoju, wprowadziła barona do salonu ,bo izdebka jej nie była całkiem w porządku. Nie zaścieliła bowiem swojego łóżka ,a suknie i brudne naczynia rozrzucone były w malowniczym nieporządku.

W salonie, co prawda nie dużo lepiej wyglądało, bo nie spodziewano się tu widocznie o tak wczesnej porze wizyty.

Na stole stały w nieporządku flaszki i szklanki, leżały porozrzucane karty i niedopalone papierosy, widocznie jeszcze z poprzedniego wieczoru. W kącie zaś stała jakaś zapomniana szpada oficerska.

Na uprzejme zaproszenie pani Gramlowej usiadł mniemany baron na pluszowym fotelu i zaczął się umawiać z uszczęśliwioną starowiną, która stała przed nim z uszanowaniem, o chopélne warunki.

— Widzi pani — zaczął on grzecznie — chcę sobie teraz urządzić gospodarstwo na większą skalę. Wynajmę całe piętro, przyjmę kilku służących i chcę dawać u siebie przyjęcia i przyjmować gości. Potrzeba mi więc osoby, któraby się tym wszystkim umiała zająć, prowadzić całe gospodarstwo, nadzorować służbę i robić honory domu. Czy chciałaby pani przyjąć taką posadę?

Nie nadawała się ona wprawdzie do robienia honorów, ale oczy jej zabłysły radością.

— Z przyjemnością, panie baronie, rzekła uszczęśliwiona — marzyłam zawsze o takiej posadzie, któraby była dla mnie stosowniejsza niż służba u Grety, która mi za moją wierność, tak źle się odwdzięcza. Ręczę, że pan baron będzie ze mnie zadowolony. Będę pilnie, wiernie dniem i nocą pracowała...

— O tym jestem przekonany — przerwał baron zniecierpliwiony jej gadaniem — dam pani 400 zł pensji, bo się pani u mnie musi porządnie ubierać.

Grammlowa promieniała szczęściem! 400 zł rocznie, wydało się jej bajecznym majątkiem. U Grety nie miała wcale pensji, tylko od czasu do czasu jakieś wynagrodzenie. Gadała więc piąte przez dziesiąte, aby tylko baronowi okazać swoje zadowolenie.

Baron tymczasem wyjął swoją portmonetkę.

— Chciałem pani dać zadatek za kwartał z góry — rzekł — ale nie mam przy sobie drobnych, tylko same 1000 guldenowe banknoty.

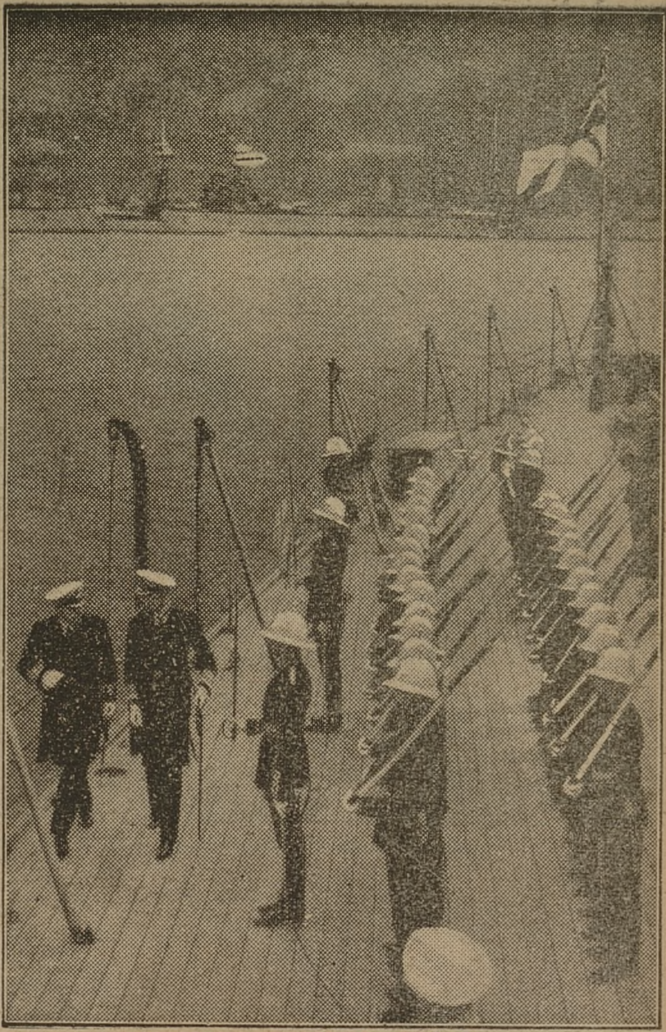
Stara zasmuciła się na chwilę, ale pocieszyła się myślą, że to jej nie uciecze przy następnym widzeniu się z baronem, który rzekł, rozglądnąwszy się uważnie po pokoju:

— Panna Lessen bardzo ładnie i milutko ma urządzone mieszkanie; jest nawet szyk, szczególnie biureczko jest cacko. Widzę w nim kluczyk, czy panna Greta tak nieograniczenie ufa pani?

— Ależ tam nic nie ma — zapewniła go Grammlowa — listów nie pisuje, a pieniądze chowa gdzieindziej.

— I pewno prędko je wydaje, jak ma! — rzekł baron — nie ma ona pewnie wiele do schowania.

— O, ona nie jest taka — paplała znów stara — ona oszczędza, a szczególnie teraz, gdy jej się zdaje, że tłuścieje i że kariera jej się prędko skończy.



Nowomianowany zwierzchnik sił morskich W. Brytanii, admirał Roger Backhouse, wizytował ostatnio stacjonujące w Gibraltarze okręty angielskie.



Wspaniały pojazd tegorocznego księcia karnawału w Nicei.

Zrobiła się teraz aż skąpa, a że wyzyskuje barona Sturmfedera i innych swych wielbicieli, ile tylko może, to pewno już ładny grosz ma uskładany.

— No, większe pieniądze ma ona pewnie w kasie oszczędności? — zapytał baron, patrząc bacznie na starą.

Ona jednak tego nie spostrzegła i dalej gadała:

— Mówiłam jej już parę razy, aby tak zrobiła, ale gdzie ona posłucha. Ona tak kocha pieniądze, że się co wieczoru zamyka i złoto swoje przelicza. Widziałam ją tak często przez dziurkę od klucza. Jest to głupotą z jej strony, ale ona się nie może z pieniędzmi rozłączyć!

— Jak to nieostrożnie — wtrącił baron — z pewnością jeszcze ją kiedy okradną.

— Nie, zdaje mi się to niemożliwym, wobec tego, że ten dom taki pewny — wtrąciła Grammlowa — a Greta jest chytra i w dzień tak gdzieś kasetkę chowa, że nawet ja jej jeszcze odnaleźć nie mogłam. W nocy zaś ma ją pod swoją poduszką, sama to widziałam.

— Tak, to bezpieczne — pocieszał ją baron — ale teraz muszę się pożegnać. Czas tak prędko mi z panią zeszedł, że się nie spostrzegłem, że już tak późno. Zgodziłem panią więc do siebie, pani Grammel i uważam to jako rzecz umówioną. Dam pani jeszcze tylko znać, kiedy pani może wstąpić, bo to zależy od tego, kiedy urządzenie domostwa będzie gotowe. — Niech pani na razie nic o tym nie wspomina, nawet przed hrabią Brisen, bo on mnie prosił o dyskrecję. Do widzenia!

— Do widzenia jaśnie panie baronie — odparła Grammlowa, dygając nisko — jak pan baron rozkaże.

Wyprowadziła barona, który jeszcze przystanął w przedpokoju i oglądając się, rzekł:

— Śliczne mieszkanko! Doprawdy, że można pannie Lessen pozazdrościć. A dokąd te drzwi prowadzą?

— Do sypialni Grety — odpowiedziała Grammlowa uczynnie.

— A gdzie pani śpi — dopytywał się baron ciekawie.

— Moja izdebka leży za kuchnią — informowała go stara — dobrze, że się już stąd wydostanę, bo ta Greta by mnie w końcu nogami deptała — dodała z teatralnym szlochem.

— U mnie będzie pani miała dwa ładne pokoiki do swego własnego użytku — pocieszał ją baron — napiszę pani jeszcze, kiedy pani ma wstąpić.

Ukłonił się grzecznie i odszedł, zostawiwszy Grammlową w paroksyźmie radości i szczęścia. Widziała się już w eleganckiej sukni, jako reprezentantka domu i gospodyni barona. Miała pod sobą kasę i mogła wydawać ile chciała. Miała klucze od spiżarni i piwnicy i mogła jeść i pić co, i kiedy jej się spodoba. Nie będzie potrzebowała sama pracować, a tylko dysponować służbie. Dość, że rozpływała się w szczęściu i wzdychała tęsknie do chwili, w której będzie mogła wypowiedzieć Grecie. Wyobrażała sobie zdziwienie i gniew baletnicy.

Była tak upojona swoim szczęściem, że w pierwszej chwili zapomniała zupełnie o swojej flaszce i dopiero pragnienie przypomniało jej, po co właściwie rano wyszła. Znalazła flaszkę na konsoli w przedpokoju i zarzuciwszy mantylę, chciała pobiec po wódeczkę dla siebie, gdy zobaczyła, że nie ma klucza od drzwi wchodowych.

Przeszukała swoje kieszenie, potem przedpokój i salon, ale klucza nie znalazła.

— Musiałam go zgubić — mruknęła — ale jak to możliwe, kiedym jeszcze baronowi drzwi odmykała?

Pocieszała się myślą, że go jeszcze znajdzie, bo w gospodarstwie Grety bardzo często coś się gubiło i zarzucało, a później znowu znajdowało. Nie chciała sobie tą drobnostką psuć humoru i pokrzepiwszy się likierem, weszła do sypialni, gdzie szwaczka sporządzała dla Grety nowe spódniczki do tańca.

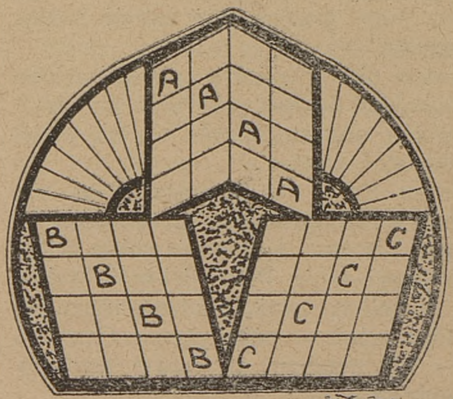
Czując potrzebę wygadania się przed kimś, zaczęła pani Grammlowa robić różne aluzje co do zmiany swego losu. Mogła wprawdzie była wyruszyć z całą prawdą, ale wolała rzucać tylko półsłówka i zostawić słuchaczce pole do domysłów.

— Są jeszcze na świecie, chwała Bogu, ludzie, którzy mnie szanują — rzekła — chociaż ja u Grety nic nie znaczę! Będzie mi jeszcze kiedyś bardzo dobrze na świecie i przyjdzie dzień, w którym się będę mogła odwdzięczyć za doznane krzywdy i upokorzenia!

Szwaczka nie wiedziała sama, co o tej gadaninie ma myśleć. Czy by się ktoś miał o nią starać? — zaśmiała się w duchu — chyba to jakiś pomylony! (C. d. n.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Kwadraty magiczne
uł. F. Gałecki



Należy uzupełnić brakujące litery w ten sposób, by powstały słowa, dające się jednakowo odczytać w kierunku poziomym i pionowym.

Znaczenie wyrazów:

I. kwadrat:
1. Bożek miłości
2. Określenie dużej ilości
3. Nierozpuszczalna część ciała stałego w płynie
4. Ucieszona in.

II. kwadrat:
1. Mieszkaniec Afryki (wspak)
2. Mieszkanka wód (wspak)
3. Mieszkanka wód
4. Mieszkaniec Afryki

III. kwadrat:
1. Miejsce niezabudowane
2. Imię żeńskie (skróc.)
3. Pan po staropolsku
4. Metal

Kryptogram
pod. „Eros".

Znaleźć wyraz dwusylabowy i zmieniać kolejno 1. zgłoskę, a powstałą nowe o znaczeniu: 1. łajanie, 2. wóz, 3. wzniesienie, 4. okrzyk, 5. komisja sędziowska, 6. zwierzę, 7. niedobry napój.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku dn. 11 marca br.

Rozwiązania zadań z nr. 8 „Moich Powieści":

1) konikówka: Wiele od życia wymagać nie trzeba,
Tylko trochę miłości i kawałek chleba.

2) Dopełnianka: Nie trzeba stawiać jutru żądań, lecz na jutro sobie samemu wskazywać obowiązki. Żmijewska.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Lenart Tadeusz — Rakowice, Kiełbratowski — Poznań, Zaliwska Maria — Bydgoszcz, Janicki D. — Gniezno, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Młócik Zygmunt — Poznań, Szlanga K. — Chojnice, Kiełpiński Ludwik — Bydgoszcz.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Zaliwskiej z Bydgoszczy i Młócikowi z Poznania.

ADAM NASIELSKI

11)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

Miał wzrok jak kot i natychmiast pojął ogrom niebezpieczeństwa. Jednym potężnym skokiem znalazł się obok kapitana wciąż trzymającego Thelmę w ramionach — i pociągnął go za ramię. Jednocześnie sześciu zbirów bosa, którzy nadjechali samochodem sięgnęło po swe szybkostrzelne rewolwery Thompsonowskie. Cliff zrozumiał, że od szybkości działania zależy tu wszystko. Trzymał wciąż ramię Jazona. Teraz szarpnął je potężnie i pociągnął swego pana poza rów.

Za nimi zabrzmiał jazgot suchych strzałów — lecz nie trafiły w tej ciemności. Po ubiegnięciu jakichś stu metrów od szosy Jaz wyrwał się ciągnącemu go murzynowi i zatrzymał się oddychając ciężko i z wściekłością.

— Ośle! Przecież tam została...

Chciał pobiec z powrotem, ale Cliff — filozof miał krew zimną, jak lód, pomimo swego podzwrotnikowego urodzenia. Zacisnął palce w pięść i bez wahania wyrżnął kochanego kapitana i pana w szczękę. Jazon legł unieruchomiony u stóp swego służącego, który podniósł go niezwłocznie, zarzucił sobie bezwładne ciało na ramię i, jakby dźwigał paczkę waty, pobiegł szybko w kierunku krzewów topolowych, widocznych w oddali. Tam ułożył kapitana pieczołowicie na ziemi i czekał z filozoficznym spokojem.

Jazon Kent otworzył oczy po jakichś pięciu minutach i od razu przypomniał sobie wszystkie wydarzenia.

— Toś ty mnie powalił!

— Ja, kapitanie. Dałem panu swinga w szczękę, bo pan chciał sam jeden rzucić się na sześciu uzbrojonych w karabiny maszynowe gangsterów. Przedziurawiliby pana, jak gąbkę.

— Ależ oni schwytali Thelmę!

— Pan by jej nie uratował swym wariactwem. Teraz zaś możemy jej poszukać. Gdybyśmy wszyscy trzej wpadli — nie byłoby wcale lepiej. Rozumie pan chyba, że nie miałem innego wyjścia, jak dać panu w zęby. Oczywiście przepraszam za niesubordynację — lecz pan leciał jak wariat prosto w objęcia pewnej śmierci.

Widząc, że jego pan milczy, Cliff wyjaśnił:

— Oni nadjechali samochodem z góry i zaraz zauważyli tamtych w rowie. A pan właśnie całował się z miss Murray. Cóż innego mi pozostało. Pozatem — dodał nieco niekonsekwentnie — nazwał mnie pan osłem... Nie myślę pana obrażać, sir, ale jeżeli już koniecznie jeden z nas był osłem w owej chwili — to na pewno nie Clifford Hallet... Tak.

— Ach, ty Meneliku kochany. Przepraszam cię.

Nie opierał się wcale, gdy Jaz nagle przygarnął go do siebie i ucałował głośno w oba policzki. Potem jakby wstydząc się tego swego mazgajstwa wyciągnął rękę do Murzyna i uścisnął ją mocno.

— Nigdy ci tego nie zapomnę, Cliff. Aleś mi dogodził — potarł dłonią obolałą szczękę.

— Powoli, captain, bo mi pan zmiażdży dłoń. Musimy zatem poszukać miss Murray. Tylko dlatego strzeliłem pana w pysk — zaśmiał się cicho.

— Cliff! — przypomniał sobie naraz Jaz. — Czyś ty otrzymał jakiś list od „bosa" lub od inspektora Willsa, co na jedno wychodzi.

— Nie!

— A on powiedział mi wyraźnie: „Twój Murzyn otrzymał list uspokajający i Thelma, którą kochasz — również". Miss Murray też nie wspomniała o żadnym liście.

— Dlaczego pan pyta, captain. Teraz mamy coś ważniejszego przed sobą.

...„Thelma, którą kochasz — również". Fakt, że Wills skłamał, był w tej chwili nieważny. Najpoważniejsze było to wtrącenie: „...Thelma, którą kochasz..." Buddy Wills, bos szajki gangsterów w randze inspektora policji — wiedział o ich miłości. Jazon Kent zrozumiał teraz cały ogrom niebezpieczeństwa i bez słowa obejrzał trzymany w ręku rewolwer — niewiadomo zresztą po co...

— Nie możemy zwrócić się do policji, Cliff, bo Wills natychmiast dowie się o wszystkim. Zresztą, mogą mi nie uwierzyć, lub też on ma tam innych członków swej szajki. To przecież Chicago! Muszę działać na własną rękę. Czy idziesz ze mną?

— Nawet do piekła, captain — odrzekł Cliff, jakby to się rozumiało samo przez się. — I dodał, widząc smutne, zawzięte oczy swego pana:

— Jeszcze nic straconego, sir. Pamięta pan bunt w cieśninie Magellana. Wtedy było gorzej.

— Ale teraz jest bardzo źle — westchnął Jaz — z rezygnacją.

— Zdaje się, że będę zmuszony zajechać pana jeszcze raz w łeb, captain — oświadczył Cliff grzecznie. — Przekonałem się, że to niekiedy może pomóc.

— Masz rację, Cliff — rozpogodził się Jaz równie nagle. — Idziemy!

— Nie na wariata, sir. Przedtem trzeba się namyśleć, a potem działać. Ludzie o białej skórze często postępują odwrotnie, a mimo to mienią się być panami świata...

ROZDZIAŁ XXIII.

NORMALNIE...

„Nie na wariata"... westchnął Jazon ponownie. Jakże inaczej! — kiedy ta cała planowana „impreza" jest niczym innym, tylko czystym szaleństwem. Bo proszę — jeden człowiek, wprawdzie dobry marynarz, lecz co to ma do rzeczy — chce wybrać się z jednym Murzynem na szajkę gangsterów chicagowskich. Ba! na dwie szajki — bo mister Montague Sedgwick też piechotką nie pójdzie. Na kilkudziesięciu, może na kilkuset uzbrojonych i wykwalifikowanych w technice zabijania drabów, którzy potrafili zmusić do opuszczenia Ameryki takiego pułkownika Lindbergha, lub zagrozić porwaniem Grecie Garbo, strzeżonej przez trzydziestu „Gouvernement — Man'ów", wynajętych przez panów Samuela Goldwyna i Markusa Loewa, gdyż utrata głównej gwiazdy groziła krachem firmie Metro-Goldwyn-Mayer Films Corporation.

A tu nic, tylko Jazonek Kent sam jeden na taką hałastrę. I gdzie, i co, i jak, i którędy, do stu par piorunów! Nie na wariata, sir — spokojniutko, pójść do bosa i powiedzieć mu pan będzie łaskaw zwrócić mi miss Murray, bo ona jest mi potrzebna do szczęścia! Kapitan odwrócił się bezsilnie i odechciało mu się iść. Dokąd?

— Zupełnie jak na filmie lub w crime-stories, Cliff. Niecni bandyci, psia ich nędza, porwali córkę milionera, a zakochany kapitan, psia jego nędza — postanowił ją odbić, aby potem usłyszeć od papy Murray'a krótko i węzłowato: Wynoś się, łapserdaku, bo moja córka nie nie jest dla ciebie. Owszem dziękuję, żeś mi ją ocalił z rąk gangsterów... Ale co ja mówię. Jak my ją ocalimy.

— Zaczyna mi się pan nie podobać, sir. Czy pan kocha miss Murray — czy nie? Na to trzeba sobie dać zdecydowaną odpowiedź.

— Przypuśćmy, że kocham. To co! Przecież nie myślisz, że nawet po wykryciu siedziby — autor sensacyjny napisałby z rozkoszą: centrali — bosa znajdziesz tam guzik w słupie telegraficznym, naciśniesz — se go delikatnie i z wnętrza słupa wyskoczą tajemnicze schody, wyłożone perskim dywanem, które zaprowadzą nas do uwięzionej i porwanej. To nie jest powieść przyjacielu, choć tak mogłoby się wydawać.

— Ja wcale nie tak myślałem.

— Więc co! Toż tam czeka na nas kilku przynajmniej drabów z rewolwerami błyszczącymi Thompsona. Trzysta kul na minutę! Wydziurkują na nas swoje mono-

gramy i tyle ich zobaczymy. Zastanów się, proszę cię bardzo — bo ja nie widzę tu innej ewentualności.

— Kapitanie, jak się nazywał ten sznurowadlarz.

— Komandor Seldon Douglas. Chcesz może zaproponować mu, aby nam pomógł. To może być taki sam tajny gangster jak inspektor policji Buddy Wills.

— Przede wszystkim nie ma pan stuprocentowej pewności, że zamaskowanym bosem był właśnie Wills — odciął się Cliff rzeczowo. — Po drugie Seldon Douglas był fotografowany w gazetach jako komandor wywiadu.

— Aha!... i cała wiadomość o jego wyjeździe do Europy okazała się bujdą bez resorów. Kto mi zaręczy, że reszta też nią nie była.

— Musimy też ryzykować. Znajdziemy tu gdzieś dom z telefonem, zadzwonimy do Douglasa i... poza tym pozostaje jeszcze porucznik Richard Murray, rodzony brat porwanej. Nieładnie, sir, że pan tak prędko traci głowę. Wprawdzie w ciągu ostatniej doby został pan w nią dwa razy sztychnięty, w tym raz mnie przypadł ten zaszczyt — ale tak nie można.

— Nie wysilaj się na naiwny dumping, czarny filozofie. Well, znajdę gdzieś telefon, zbudzę obcych ludzi do pomocy, a oni wyniosą mi telefon na tacy i zadzwonię do komandora Douglasa, i do Richarda Murray, jeżeli chcesz, nawet do Białego Domu, do dowództwa admiralicji, do kompanii czołgów pancernych i możeby tak od razu przy okazji do krematorium, do apteki, pogotowia i do Armii Zbawienia. Całą Amerykę poruszymy dla naszej przyjemności. Alarm Gubernatora Clifforda Halleta N.I.D., a jakże!

— Jeżeli już pan taki łaskaw, captain — uśmiechnął się Cliff, to pozwolę sobie zauważyć, że zapomniał pan jednak o najważniejszym telefonie.

— Dokąd! — nie zrozumiał Jazon.

— Do P.Z.N.CH.Z.K.

— Jak! Co to za dziwoląg.

— Państwowy Zakład dla Nerwowo Chorych i Zakochanych Kapitanów. Powinien taki istnieć, moim zdaniem.

— Dobrze już, Cliff — uspokoił go z błyskiem w oczach, zaprzeczającym całej jego pozornej rezygnacji. — Nie myśl, że ja jestem taki wariat, jak ci się wydaje.

— Nic nie sądzę, znam jednak mego pana i dziwię się, że tracimy tu czas na puste gadanie.

— Pało smolona! Sam pierwszy wspomniałeś o namyśle — a wiesz, jak ja się zachowuję, kiedy myślę najintensywniej.

— Wiem, lekko nienormalnie.

— No to chodź! Gotowe.

Już bez słowa wstał i ruszył w stronę szosy, a Cliff za nim. Rewolwery trzymali w dłoniach, gdyż należało liczyć się z tym, że bos również nie będzie zasypiał gruszek w popiele. Jazon Kent na wolności równał się dla niego niebezpieczeństwu zdemaskowania, o ile odkrycie kapitana było trafne. Inspektor Wills-Bos uczyni na pewno wszystko, aby zlikwidować intruza i Cliffa według wszelkich prawideł sztuki zabijania. O tym pamiętał teraz Jaz, gdy maszerowali szybkim i ostrożnym krokiem w kierunku szosy.

Ale szosy nie było jakoś wcale widać.

— Zgubiliśmy kierunek, Cliff. — Zatrzymał się. Gdzie jest ta szosa numer dwadzieścia trzy?

— Była na wschodzie.

— Do świtu jest akurat dwie godziny, a i wtedy musielibyśmy grzecznie poprosić czcigodne chmury, aby raczyły rozwiać się na minutę i ukazać nam, gdzie jest wschód słońca. No i to nie zapewnia zupełnego zorientowania się. Ale pada! — przemokłem do suchej nitki!

— Może parasolik dla pana kapitana marynarki. Jak już wariat — to na całego.

— Idźże ty, patałachu! Swoją drogą — dodał Jazon poważniej — my sobie tu gadu, gadu, a sytuacja wcale nie jest wesoła. Oj, wcale! Thelma porwana... Zaraz! Zastanówmy się wspólnie. Jakby się na moim miejscu zachował bohater filmu lub powieści sensacyjnej w wypadku porwania jego och! ukochanej. Ci literaci mają niekiedy zupełnie podświadomie niezłe pomysły. No, gadaj coś, Cliff — bo ci zwrócę dług wdzięczności.

— Po co mi gadać. Niech się kapitan solo wygłupia, aż to panu przejdzie i wtedy przystąpimy do jakiejś akcji. Na obłęd nie wynaleziono jeszcze lekarstwa. U nas w Afryce, wyłupanoby panu oczy i zostawiono z lwami w głębi dżungli. Ale w cywilizowanych krajach tak nie można.

— Przestałbyś i ty Cliff gadać od rzeczy. Myślisz, że mnie diabli nie biorą! No! No co mam robić. Nie posiadam fantazji autora romansów sensacyjnych. Nawet szosę zgubiłem i głodny jestem jak cholera! I mokry i kataru jeszcze się nabawię — i rzuć się tu człowieku na ocalenie porwanej. Z czym i gdzie? Kryminał, jak pragnę Boga. A tu czas leci...

— Słuchaj pan, Jazonie Kent — spoważniał również Cliff. — Wszystko ma swoją miarę. Nawet gadanie głupstw. Musimy znaleźć tę szosę, potem albo do telefonu, albo podkraść na wzgórze i zobaczyć, co się tam dzieje. Odwagą można dużo zdziałać, lecz trzeba ją mieć. I odrobinę powagi również.

— Odwaga samobójcy nie jest odwagą, lecz patologią — zauważył Jaz wściekle. — A twój plan równa się poprostu efektownemu samobójstwu. Nie, bracie. To jest zadanie ponad nasze siły. Nawet Charlie Lindbergh musiał przed nimi zwiać, a Alfred Capone ma w swej celi więziennej dwa telefony, dyktafon i meble z różanego drzewa, o ile wierzyć dziennikom. I siedzi nie za swe morderstwa — ale za... niedokładności podatkowe. Czy wiesz, jaką potęgę przedstawiają gangsterzy w Chicago? I ja mam się na nich porwać? Dziecinne...

— Zatem nie pozostaje nam nic innego ,jak wrócić spokojnie do hotelu Stevensa, w którym pan uczciwie wynajął najdroższy apartament, nie mając grosza przy duszy i — bo ja wiem... może wybierze się pan do kina, aby oglądać jak bohater uwalnia porwaną ukochaną. Lub wrócić do Kanady. Dziwna jest moralność ludzi o białej barwie skóry, kapitanie. Wręcz niesamowita. A o miss Murray, którą pan zdaje się kocha, niech się troszczy jej ojciec, policja, wszyscy — tylko nie pan.

— Wiesz przecież dobrze, że tak nie postąpię. I żebyś był nie wiem jak mądry — nie wiesz co uczynić. Dlatego właśnie jestem wściekły.

— W każdym razie nie ma sensu znów stać tu bezczynnie, sir, choćby z powodu deszczu. Wygłupiamy się już w sumie jakieś pół godziny.

— Przesada i nie wygłupiamy się. Namyślaliśmy się. Jazda.

Ruszył naprzód twardym krokiem, jakby nie miał zamiaru zatrzymać się już w tym niesamowitym marszu. Byle naprzód i niech się dzieje wola Boża. Zapomniał o rewolwerze i włożył go do kieszeni, nie zamknąwszy bezpiecznika. Cliff podążał za nim w uporczywym milczeniu. I Jaz byłby tak szedł może godzinę, nie zważając na deszcz ani na oślizgły teren — ażby się opamiętał lub ażby wpadł na jakąś konkretną myśl, gdyby nagle za nimi nie dał się słyszeć szum motoru samochodowego i pisk hamulców.

Jaz momentalnie przypadł do ziemi nie oglądając się nawet za Cliffem. Widział sylwetkę człowieka z latarką, oświetlającego teren przed sobą, jakby w poszukiwaniu śladów lub zaginionego przedmiotu. Kapitan zrozumiał, że za chwilę światło latarki musi paść na leżących. Nie wiedział kim jest obcy osobnik — nie mógł jednak posądzać o zamiary krajoznawcze lub o lunatyzm, człowieka, który w taką pluchę myszkuje po polu z rewolwerem w drugiej ręce. Ten facet szuka czegoś... lub kogoś i znajdzie... guza.

Kapitan nie obawiał się już, że przemoknie bardziej niż był. Potoczył się jak kłoda pod nogi zbliżającego się, wywrócili się obaj i Jaz palcami odszukał szyję obcego. Ściągnął chwyt i rzekł cicho i nieromantycznie:

— Jeżeli piśniesz — zaduszę cię.

Poczuł, że tamten wiotczeje i słabnie pod wpływem zbyt mocnego ucisku i pociągnął go za sobą.

— Bierz go za nogi!

Praktyczny Cliff przedtem podniósł latarkę, która upadła w czasie szamotania się i dopiero wówczas wykonał rozkaz kapitana, i złapał leżącego za buty. Oddalili się spiesznie o jakieś pięćset kroków, a zdziwiony Cliff nie zapytał ani słowa: dlaczego? Dopiero gdy zatrzymali się dla odetchnięcia obok jakiegoś drzewa, zaciekawiony Murzyn odważył się nacisnąć guzik zarekwirowanej latarki i oświetlił twarz schwytanego. Jazon Kent od razu poznał twarz gangstera Diona i odetchnął z ulgą, albowiem zaczynał już odczuwać wyrzuty sumienia, że dla dogodzenia własnej wściekłości napadł może Bogu ducha winnego obywatela, niczym zwykły opryszek.

— Poznajesz mnie, Dion — zapytał, widząc otwarte oczy.

— Kapitanie Kent — syknął gangster bez drżenia w oczach. — Nie ujdziecie daleko. Bos wysłał nas, abyśmy poszukali pańskich śladów. Nie ujdziecie daleko — powtórzył wściekle — i szarpnął się, lecz Jaz trzymał go mocno.

— Ja sam będę się troszczył o własną skórę, Dion — rzekł Jazon spokojnie. — A teraz, bratku — będziesz opowiadał wszystko i szczegółowo, bo nie mam czasu.

— Ode mnie nie dowie się pan nic. Choćbyście mnie zabili.

— Nie zabiłem jeszcze nigdy człowieka i może ty będziesz premierą. A propos premiera. Powtórzę ci twoje własne słowa, Dion: Istnieją rzeczy zabawniejsze niż śmierć. Naprzykład włożymy ci pod paznogcie parę drewienek i poczekamy aż się wypalą. Byłeś na Bengali, kochanie?

ROZDZIAŁ XXIV.

JAZ — PROKURATOR

Była to oczywiście pusta groźba i Jaz nie miał najmniejszego zamiaru jej wykonać. Wstawiać facetowi zapałki pod paznogcie i przypalać go, na taki deszcz. Jeszcze co? Szczerze mówiąc, nie wiedział co tu właściwie zrobić z tym fantem — to jest z Dionem. Pojawił się drab jak deus ex machina niczym w nędznej powieści kryminalnej i teraz uprawiaj na nim świadomy plagiat Franka Hathawaya. Nie, to jest bezsensowne i dobre dla pensjonarek i młodych uczniaków. Jeden przynajmniej wniosek był pewny: — skoro Dion przyjechał tu z rozkazu bosa dla poszukania śladów Jaza — to Cliff i jego pan dotychczas musieli się znajdować w pobliżu miejsca na szosie, gdzie porwano miss Murray. Drugi wniosek — to świadomość niebezpieczeństwa.

Zdecydowana mina gangstera wskazywała wyraźnie, że on nic nie powie i Jaz nie pomyślał naturalnie serio o wykonaniu tortury. Lecz co teraz? Zimno jak wszyscy diabli i w końcu zostanie jeszcze nadobitek uczciwy katar lub zapalenie płuc. Podła przygoda...

Ciemno wokoło, pomimo, że zegarek wskazuje piątą nad ranem, jak mur. Grube, gęste zwały chmur pokrywają horyzont. Za chwilę nadbiegną towarzysze Diona, którzy razem z nim przyjechali w samochodzie i będzie nareszcie koniec z tą całą zwariowaną hecą. W tym miejscu Jaz przyłapał się na głupiej myśli — toż nie będą — on i Cliff — czekać aż tamci nadlecą. Trzeba po prostu zwiać, poświęcić krawat, którym Cliff związał przeguby i kostki gangstera i chodu! Do policji, do komandora Douglasa, do porucznika Dicka Murraya, gdzie bądź — bo sam nie widział wyjścia. Obcy teren, słota, Thelma porwana i żadnego solidnego pomysłu na jej ocalenie z rąk napperów. Trudno!

— Podnieś kotwicę, Cliff. Uciekamy stąd.

— A ten — wskazała na Diona czarną ręką.

— Zostaje i może sobie rozmyślać o wieczności na wilgotno. Jest ich więcej i przyjechali samochodem. Nie damy rady. Skorzystajmy z okazji, że wiemy już w jakim kierunku jest szosa — tam... i, zagarniaj pedały. Oczywiście okrążymy kierunek łukiem, bo inaczej wpadniemy im prosto w ręce.

Hallet był przyzwyczajony do posłuszeństwa i nie trzeba było powtarzać mu rozkazu dwa razy. Wzruszył ramionami, lecz ponieważ i jemu zaczynał dokuczać przejmujący ziąb — nie miał nic przeciwko temu, aby zmienić tę sytuację, choćby po to, żeby wyschnąć rzetelnie.

Deszcz lał tak zawzięcie, że nie można było oczywiście marzyć o usłyszeniu kroków gangsterów, gdyby ci nadeszli. Miało to jednak i tę dobrą stronę, że przeciwnicy — o ile Dion nie skłamał — nie mogli tak samo dostrzec słuchem kapitana i Cliffa, tym bardziej, że Jaz skierował się wielkim łukiem w przypuszczalnym kierunku szosy, gdzie słyszał przedtem warkot automobilu.

Po jakimś kwadransie ukazała się przed nimi w bladym mroku błyszcząca płachta asfaltu. Jaz przeskoczył rów i wpadł prosto w ramiona zaczajonego gangstera, czuwającego przy samochodzie.

— Hel...!!

Więcej opryszek nie zdążył krzyknąć, bo przedsiębiorczy Cliff zasznurował mu gardło palcami tak szczelnie, że potem nie gwarantował czy zostawił w rowie nieboszczyka, czy nieprzytomnego. Skoczył bowiem za Jazem do oczekującego (nie na nich) samochodu. Kapitan rozumował szybko: gangsterzy przyjechali ze swej siedziby, z domu na wzgórzu i wóz był zwrócony frontem w kierunku Chicago. Nie trzeba więc nawet zawracać wozu na szosie, co zajęłoby masę czasu i może nawet udaremniłoby ucieczkę. Wystarczy puścić motor w ruch i przed siebie — prosto na Chicago.

Tak też uczynił. Nie był pewny czy huki za nim pochodziły od strzałów gangsterów, czy też były to tylko trzaski z dymnika Buicka. Poderwał gwałtownie wóz i koła popędziły z największą szybkością po śliskawym asfalcie. Dla pewności Jazon zgasił zupełnie przednie latarnie i mknął w mroku.

Buick należał do najlepszych i sunął aż miło. Uspokojony Jaz zwolnił nieco z morderczego biegu i obejrzał się. Cliff siedział za nim z ręką na głowni umocowanego w wozie karabinu maszynowego. Morowy chłop!

Jakby dla podkreślenia polepszonego nastroju deszcz przestał padać i rozjaśniało się wolno, ale stale. Kapitan przerzucił na pierwszy bieg i uśmiechnął się do Cliffa.

— Jak samopoczucie, negusie!

— Pod psem. Zły jestem na pana, sir. Hop! — niech pan uważa na kierownicę!

— Nie ma obawy — rzekł Jaz i zahamował tak gwałtownie, że Cliff jednym koziołkiem znalazł się na jego plecach.

— Czemu pan zatrzymał. Lepiej niech pan zawróci i pojedziemy do tych gangsterów. Mamy karabin maszynowy, samochód, sterroryzujemy ich i uwolnimy miss Murray. Wtedy będę miał dobre samopoczucie.

— Aha! Tum cię czekał. Nie bądź naiwny, Cliff. Oni mają więcej karabinów i przedziurawiliby nas jak rzeszoto. Posłucham natomiast twej poprzedniej rady i pojedziemy prosto do komandora Douglasa. Zawiadomię też Dicka Murraya. To są sprawy dla policji. Ja się nie znam na walce z gangsterami, ani na szpiegostwie.

— Wystarczyłoby trochę odwagi, i może udałoby się nam uwolnić miss Murray.

— Już drugi raz ci mówię, że to byłoby samobójstwo.

— A nuż oni ją tam w międzyczasie zabiją.

— Głupiś. Najwyżej zażądają okupu od papy Murraya.

Cliff skrzywił się: — Jako wzór romantycznego bohatera, nie nadaje się pan wcale, captain.

— Minęły już te czasy, czarny moralisto, kiedy to jeden wariat bohaterem zwan rzucał się z nożem w zębach na stu innych dla ratowania kobiety, która się doń niechcąco uśmiechnęła. Specjalizacja — ot co. Wiek dolara, embarga, towarzystw ubezpieczeniowych i ekscentrycznego koncernu rozrywkowego pod firmą Liga Narodów w Genewie, Societé Anonyme. Dosłownie: anonyme. Nie będziemy zabierali chleba policji i władzom bezpieczeństwa.

— No, to jedźmy już nareszcie do tego Chicago, bo szkoda czasu.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Niedziela, dnia 6 marca 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 11.25 „Ziemia sądecka w pieśni" — audycja muzyczno-słowna 12.03 Poranek symfoniczny z Poznania 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.00 „Pieśni poddasza" — kurant staroświecki 17.00 Koncert światowy z Australii 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.35 „Słynni wirtuozi" — koncert z płyt 21.15 „Ta joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Najpiękniejsze pieśni Stanisława Moniuszki 22.20 Recital skrzypcowy Roberta Scötensa.

Poniedziałek, dnia 7 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu": Praca kominiarza 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej 17.00 „Nowoczesna waluta złota" — odczyt 17.15 Polskie pieśni i utwory skrzypcowe — koncert 18.10 Piosenki z filmów (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujmy: „Spór o opinię publiczną" 20.00 Koncert rozrywkowy 22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 8 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Ottorino Respighi: Ptaki — suita (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Rzeczy ciekawe z pięciu części świata" — audycja dla dzieci 16.15 „Fantazja na temat znanych pieśni" — koncert 17.00 Wyspa polska w Rzymie — felieton 17.15 Recital wiolonczelowy Maurice Marechal 17.50 „Z psychologii psa domowego" — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.30 Kilka nowych pieśni (koncert) 20.00 „Coś dla każdego" — koncert rozrywkowy 21.00 Koncert symfoniczny (z Wilna) 22.00 Melodie taneczne.

Środa, dnia 9 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Ludwik v. Beethoven: Sonata wiolonczelowa C-Dur 12.03 Audycja południowa 15.45 „Na co poluje żółty, dziki dingo?" — pogadanka dla dzieci 16.15 Koncert w wykonaniu orkiestry mandolinistów 17.00 20-lecie czerwonej armii — odczyt 17.15 Witold Maliszewski: kwartet smyczkowy Es-Dur 18.10 Barkarole (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Pieśni żartobliwe w wykonaniu Chóru kolejarzy „Hasło" 19.35 „Samotność młodości" — gawęda Starego Doktora 20.00 „Jan Strauss — król walca — Gershwin — król jazzu" — koncert z płyt 21.00 Koncert chopinowski 22.00 Koncert popularny w wykonaniu orkiestry wileńskiej.

Czwartek, dnia 10 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Chopin" — poranek muzyczny dla gimnazjów 12.03 Audycja południowa 15.45 „Rozmowa muzyka z młodzieżą" 16.15 Koncert solistów 17.15 Łódzka orkiestra salonowa 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 „Poranek Puszkina" — słuchowisko 19.30 Recital skrzypcowy Eugenii Umińskiej 20.00 Koncert rozrywkowy z Katowic 21.45 „Zapomniany poeta — Franciszek Nowicki" — szkic literacki 22.00 Koncert poświęcony twórczości K. Szymanowskiego.

Piątek, dnia 11 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Pieśni hiszpańskie Manuela de Falli (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Kukułka" — audycja dla dzieci 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 17.15 Utwory fortepianowe na 4 ręce 18.10 Orkiestra Heinza Huppertza (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Lis przechera" — poemat (Goethego 19.30 Pieśni ludowe ziemi łęczyckiej 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 12 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Debussy'ego (z płyt) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Krakowskie żaki" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Trio salonowe — koncert z Krakowa 17.00 „Humor rzymski" — felieton 17.15 Utwory skrzypcowe kompozytorów słowiańskich w wykonaniu Ljubena Vladigerowa 18.15 Pieśni w wykonaniu Karola Kulmana (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 „Frasquita" — operetka Lehara 22.00 Trzy skecze ze Lwowa 22.15 Piosenki, ballady i duety przy gitarze — koncert.



NIE SŁUŻĄ MU PAPIEROSY

— Janie, co to ma znaczyć?... Znów mi wyjąłeś dwa cygara z pudełka.

— Jaśnie panie, kiedy mi papierosy nie służą.

POPRAWIŁ GO

Nauczyciel: Walek, tyle razy już mówiłem, że nie mówi się gęba, tylko usta... No, cóżeś tak na mnie gębę otworzył?

PRZYCZYNA

— W kredensie były dwa jabłka, Stasiu, a teraz widzę tylko jedno. Co to ma znaczyć?

— Bo proszę mamy, w kredensie było tak ciemno, że tego drugiego nie dojrzałem.

WYTŁUMACZYŁA SIĘ

— Co to za żołnierz był u ciebie, Kasiu?

— Wolę już wcale nie mówić.

— Czemu?

— Bo choćbym powiedziała nawet, że mój brat, to mi pani i tak nie uwierzy.

ŻYCZLIWOŚĆ

— Ubezpieczyłem się na sumę stu tysięcy franków na wypadek utraty głosu! — oświadczył śpiewak.

— Hm, a dlaczego towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaciło panu dotąd pieniędzy? — zauważył krytyk.

PORADZI SOBIE

— Ho, ho, widzę, kupiłeś sobie rower! Ale skąd wziąłeś pieniędzy?

— Sprzedałem futro.

— A co zrobisz, gdy znowu nastaną mrozy?

— Sprzedam rower i kupię futro.

ZGADZA SIĘ

Dyrektor teatru do nowej adeptki sztuki:

— A więc dobrze, zrobię próbę. Dziś zagra pani rolę Marii Stuart, tylko proszę, niech pani nie straci głowy!

PRZEJĘŁA SIĘ

— Jakże się udał twojej żonie pierwszy popis kucharski?

— Nieszczególnie! Wyobraź sobie, gotując obiad z przejęcia przypaliła nie tylko mięso, ale i książkę kucharską.

LOGICZNY

— Jakoś bandytyzm ustaje... Coraz mniej wypadków grabieży.

— Bandytów jest jeszcze dużo, tylko tych, którym można coś zabrać jest już bardzo niewielu...

NIE BEZ PRZYCZYNY

Mały Staś siedzi nad wielką kałużą w parku miejskim i babrze się w błocie. Po chwili spostrzega to ojciec:

— Stasiu, w tej chwili wychodź stamtąd. Co ty robisz?

— Jakto co robię? Szukam pieniędzy.

— Gdzie? W błocie?

— A co? Sam ojciec mówił, że ludzie wyrzucają pieniądze w błoto.

KORZYSTNIEJSZE

— A, to kochana pani nie trzyma już służącej, tylko posługaczkę? I lepiej pani na tem wychodzi?

— A oczywiście! I o ile to korzystniejsze! Taka posługaczka, która do kilku domów sprzątac chodzi, ma przecie co opowiadać.

BYŁ POWÓD

— Wyobraź sobie, że Duduś jest na mnie wściekły, bo znalazł w mojej torebce list nierozpieczętowany.

— Więc o cóż mu chodzi, jeśliś listu nie czytała!

— Bo widzisz, list ten był od niego!

UWIERZYŁA

— Zapewniam panią, moje usta nie wymówiły nigdy kłamstwa.

— Zauważyłam oddawna, że pan mówi przez nos.

ODPOWIEDZIAŁ

Porucznik: — Kanonier Fają, po co armata ma lufę?

— Aby ją pucować, panie Poruczniku.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.